









Chęćkowski Kazimierz

Aleksander hr. Fredro.



# PRZEWODNIK

NAUKOWY I LITERACKI

Rocznik VIII — 1880.

DODATEK MIESIĘCZNY DO „GAZETY LWOWSKIEJ“

~~~~~  
Odpowiedzialny redaktor: WŁADYSŁAW ŁOZIŃSKI.  
~~~~~

INSTYTUT  
BADAŃ LITERACKICH PAN  
BIBLIOTEKA  
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63

WE LWOWIE.

NAKŁADEM WYDAWNICTWA „GAZETY LWOWSKIEJ“.

Z drukarni Władysława Łozińskiego.

<http://rcj.org.pl>

1880.



6909



## ALEKSANDER HR. FREDRO

---

Zupełne wydanie dzieł Fredry jest w druku i niebawem znajdzie się w rękach publiczności. Chwilę tę uważaliśmy za stosowną, aby i inne po znakomitym autorze zebrać pamiątki, aby spisać to, co się jeszcze o jego życiu opowiada, nie dać zagać niektórym szczegółom, uzupełnić rysy tej postaci, któraby zasługiwała na bliższe poznanie, choćby nie dodawała jej blasku sława literacka.

Dotychczasowe biografie Fredry miały jedno i to same źródło, a mianowicie notatkę, na podstawie której Lucyan Siemieński napisał swój portret literacki. Fredro nie lubił mówić o swej przeszłości, ale gdy Siemieński napierał na niego, aby mu przysłał główne daty z swego życia, Fredro podyktował córce kilkoćwiartkową notatkę, którą przesał ciekawemu literatowi. To *curriculum vitae* zużył Siemieński w znanym portrecie, a później, przed samą już śmiercią, wydrukował w całości w *Kronice Rodzinnej*. Późniejsze wspomnienia i życiorysy, jak K. W. Wojciekiego w *Encyklopedyi Powszechnej*, G. Czernickiego w *Kalendarzu itlustrowanym warszawskim*, z r. 1877, F. H. Lewestama w *Kłosach* z r. 1868, nie dodały nowych szczegółów, nie mówiąc już o znakomitych prelekcjach prof. Tarnowskiego, drukowanych później w *Bibliotece Warszawskiej* za maj, czerwiec i lipiec r. 1876, które krytykę dzieł Fredry i jego stanowisko w literaturze a nie życiorys i charakterystykę osobistości miały na celu. Zresztą mówić o osobistości wtedy jeszcze nie było potrzeby, bo żyła pomiędzy nami, jeszcześmy oczekiwali jej literackiej spuścizny.

Dzisiaj postać Fredry stoi przed nami skończona, dzieła jego będą wkrótce znane w całości, więc, aby spróbować odtworzyć

tę postać tak, jak żyje we wspomnieniach kół bliskich, w pamięci towarzystwa, które go otaczało do końca.

Rzecz to i łatwa i trudna; łatwa, bo Fredro był charakterem jasnym, prostym, prawym, jak wyraziste rysy jego poważnej twarzy, jak pogodne jego czoło, na którym żadnych nie potrzeba było odgadywać tajemnie — trudna, bo Fredro o sobie mówić nie lubił, a przeto niejedno ciekawe dla nas dzisiaj zdarzenie z jego życia, nie jeden rys charakterystyczny musiał zaginać. O swych kampaniach, o swym autorskim zawodzie nigdy Fredro nie opowiadał. Własny syn, ciekawy w młodocianym wieku wojskowych wspomnień ojca, musiał na długich konnych spacerach wydobywać każde niemal słowo natarczywemi zapytaniami. Obcy z tych opowiadań nigdy korzystać nie mogli i gdyby nie ów nieoceniony pamiętnik *Trzy po trzy*, gdyby nie ten lub ów wiersz, napisany w chwili, w której poeta pamięcią przeszłość obejmował, wieleby nam ogniw brakło w tem zacnem i pożytecznem życiu.

Zazwyczaj listy stanowią bardzo cenny materiał do charakterystyki człowieka, ale tutaj i ten materiał bardzo niedostateczny, bo Fredro listów pisać nie lubił, a więc i niewiele ich nawzajem otrzymywał, a te, które go dochodziły, ginęły najeczęściej w koszu. Zostało więc zaledwie cokolwiek listów wojskowych kolegów, które były dla Fredry za cenne, aby je miał spotkać los innej korespondencyi, albo nieco listów ludzi uczonych, literatów, najmniej zajmujących, bo obracających się około znanych rzeczy.

Zresztą Fredro, podobny w tem do wszystkich twórczych umysłów, nie cenił papierów, nie zbierał, nie zapisywał, bo każdy wyższy umysł bezwiednie to czuje, że nie jego rzeczą jest troszczyć się o to, aby potomność o nim pamiętała. Naszym więc jest obowiązkiem krzątać się i zbierać, co zebrać można — a jeżeli to będą tylko okruchy, zawsze one coś warte, bo po znakomitym człowieku.

## I.

„...Jechaliśmy pod górę, wykutą w skale drogą. Na grzbiecie pagórka mój ojciec wstrzymał konia, i zawołał rzewnym głosem, jak gdyby witał przyjaciela: Hoczew!... W dolinie nad brzegami rzeczki, płynącej do Sanu, ujrzelśmy szczytki niewielkiego zamku, obok biały dworek i gospodarskie, dość porządne zabudowania, dalej kościółek, karczma i chaty wzdłuż łągu rozsypane. To była Hoczew.

Tu, w tym domku urodziłem się, rzekł mój ojciec, i zdawał się więcej do siebie niż do nas mówić... Z tej strony był pokój mojej matki... już tylko jedno okno... dalej był ganek... wszystko się zwaliło, na środku dziedzińca stała wielka lipa — takich drzew już nie widać...

To wspomnienie zapisał hr. Aleksander Fredro w pamiętniku *Trzy po trzy* o rodzinnej wiosce swego ojca.

Fredrowie piszą się i pochodzą z Pleszowie w Przemyskiem, tam sięgają rodową historią, a do Hoczwi lgną sercem. Hoczew leży w Sanockiem, głęboko już w górach; najbliższe miasteczka Lesko i Baligród. Pan Jacek Fredro, ojciec hr. Aleksandra, dzielny był człowiekiem; „charakter prawy, rozum nie błyszczący świetnem wykształceniem ale logiczny; dobroć nieprzebrana, uprzejmość i uczynność zjednały mu powszechny szacunek“. Umysł czynny, nie lenił się do pracy, a głową trzeba było dużo nadrabiać, bo majątek górski, a synów sześciu i trzy córki. Oprócz Hoczwi należała wprawdzie i Cisna do pana Jacka, ale i tam prócz górskiego powietrza i pięknego widoku nie wiele więcej się znalazło. Założył fabrykę żelaza, rad był z tych krzemieni wykrzesać jaką iskrę lepszego powodzenia, ale koniec końcem góry nie dostarczały podówczas dostatecznego pola dla przedsiębiorczego umysłu.

— Prawdziwe nieszczęście — opowiadał pan Jacek — to odalenie w górach od wszelkiego światłego towarzystwa; poznałem to w najwcześniejszej mojej młodości i dla tego wszelkich sił dołożyłem, aby się z nich wydobyć...

Żony już nie chciał zakopywać za borami, ale ożeniwszy się z sąsiadką, Maryanną hrabianką Dembińską, sprzedał Hoczew i zszedł nad San na doliny. Brał w dzierżawę duże majątki, hrabstwo Jarosławskie, starostwo Przemyskie, a z boską pomocą i miłością ludzką znacznie majątek powiększył, mieszkając w Surochowie, a następnie Beńkowej Wiszni.

W Surochowie urodził się Aleksander 20 czerwca 1793 roku i tam dziecinnymi i młodocianymi sięgał wspomnieniami. Posłuchajmy tych wspomnień: „Dom rodziców prawdziwie polsko-szlachecki, zamożny bez zbytku, eichy a gościnny. Długi tam stół bywał; u góry ojciec, przy nim na lewo major Bieguński, adjutant Kościuszki, potem generał, od upadku aż do wskrzeszenia ojezyny bawił w naszym domu. Człowiek rzadkich poczciwości i do śmierci prawdziwy i gorliwy przyjaciel. Po prawej najmłodsze z dzieci koło matki, za matką siostry Ludwika, Konstancya, Ceeylia i panna służąca. Naprzeciwko: Maksymilian, najstarszy, guwerner, nauczy-

ciele rysunku, muzyki, a czasem tańca, Kure, i fechtunku, głuchy Fritz von Lindenfeld. Dalej Seweryn, ja, a niżej Smolska, Linieki, Orzechowski kulawy, oficyaliści... Dwa razy do roku, 17 sierpnia i 2 lipca, w dniu imienin rodziców zjazd sąsiedztwa, objad pod lipami, bal nie małem szczęściem dla dzieci. Muzyka z Rudek, ciasta z cyframi..."

Ojca często w domu nie bywało, jeździł po interesach, także do Cisny, do fabryki żelaza, a w tych wycieczkach towarzyszył mu młody Aleksander. Był to dobry ojciec, wspomnienie po nim pozostało jednym z najdroższych do końca życia poety. Wszak w swym *Pacierzu* powiada:

Ale ciebie ukochany  
 Dobry, dobry ojcze, ciebie  
 Jak na jasnym widzę niebie.  
 W tobie dla mnie nie ma zmiany,  
 Widzę Twoją białą głowę,  
 Czoło wzniosłe i myślące,  
 Słyszę lubą, miłą mowę,  
 W pogodnem spojrzeniu czytam...

Rodzicielskiemu domowi, dobremu ojcu, otoczeniu, w jakim się wychował, zawdzięcza poeta najwięcej; ztamtąd wyniósł ów trzeźwy, jasny sąd o świecie w jowialną przybrany formę, ztamtąd ową czystą, polską tradycję, niezamąconą późniejszymi zagranicznymi wpływami, która jest jedną z najpiękniejszych stron jego talentu.

„Miejscę urodzenia — powiada poeta w swoich wspomnieniach — jest świętością dla serca, jest księgą, w której człowiek czyta aż do śmierci dzieje swojego szczęścia, bo dzieje lat dziecinnych — sad za domem, ścieżka przez łąkę, kładka na strumyku, wszystko to rozdziały żywota oblanego światłem nieprzebranej miłości rodzicielskiej“. A dla hr. Aleksandra „ten sad za domem“ w Benkowej Wiszni miał tem większą wartość, że matka przeistoczyła go i rozszerzyła. „Oprócz lip ze sklepionych ulic, notuje poeta w albumie swej corki, wszystkie starsze drzewa jej ręką sadzone, dlatego ten ogród dzieci moje szanować powinny“.

Harmonię młodocianych wspomnień psuli tylko nauczyciele, którzy jak zwykle tak i tam nie należeli do najlepszych. W ogóle niemała to było wówczas trudnością mieć dobrych, a nawet znomych pedagogów, a cóż dopiero w domu, w którym ojciec rozległmi zajęty interesami, administracją dzierżaw, nie mógł ściśle wglądać w postępowanie panów nauczycieli i w znacznej części

musiał się spuścić na ich wiedzę i sumienie. Ze zwykłym sobie humorem i malowniczością opisuje Fredro tych pedagogów: „Mój pierwszy władca umysłowy — powiada — był Heckel, Szwajcar, o łbie kędzierzawym i kabłąkowatych nogach, a lubo mnie przy nauce często sztokfiszem nazywał, był to przynajmniej, ile sobie przypominam, człowiek lubiący nauki“. Ale po nim, już gdy Aleksander miał lat kilkanaście, nastąpił Płachetko. Postać ta zawsze była przytomną poecie. „Płachetko, straszny kiedy na wietrze tabakę zażywał, straszny kiedy kichał. Płachetko z wielką powagą i przyzwoitością guwernerską nie nie robił“.

Nielepszy był nauczyciel młodszych braci, pan Staciewicz; już same pozory niedobrze za nim przemawiały, bo „miał duży nos, ogromne nogi, zawsze brudną koszulę i podarte spodnie“. Pominawszy jednak pozory, uczył ten pedagog chłopców niepotrzebnych rzeczy, kochał się bowiem zapamiętane w szafaree, pani Kobyleckiej, i nie bardzo swe efekta pokrywać umiał, to też owa miłość „wielce mu przeszkadzała w udzielaniu nauk a przynajmniej teoretycznych“.

Musiał się pan Jacek spostrzedz na tym mylnym systemie edukacyjnym, oddalił zatem Płachetkę, przyjął nowego nauczyciela Trawińskiego, i polecił mu uczyć Aleksandra według systemu szkolnego i zdawać z nim egzamina. Dziwna historia tego Trawińskiego. „Z pedagoga w całym znaczeniu słowa, stał się nagle najwykwintniejszym śmiesznym elegantem, 1807 roku wstąpił do wojska polskiego i był ułanem. Ostatnim razem — opowiada hrabia — widziałem go w Paryżu, po abdykacyi Napoleona wrócił był z Hiszpanii jako kapitan-płatnik pułku ułanów. A wkrótce potem pod Tarnowem, gdzie był wioskę wziął w dzierżawę, został od swojej służącej zamordowany jak król angielski — rozpalonem żelazem“.

Jako pedagog niezgorszym jeszcze był Trawiński, i nauki Aleksandra byłyby może dobrym poszły torem, gdyby nie ów duch wojowniczy, który kazał pedagogowi porzucić książki i pupila. Nie było go wszakże kim zastąpić, więc przyjęto znowu Płachetkę. Ze smutkiem fakt ten zapisuje poeta: „Poszedłem z młodszymi braćmi Julianem, Henrykiem i Edwardem pod powtórne panowanie Płachetki, jako guwernera i Staciewicza, jako dyrektora; pierwszy miał uczyć po francusku, na skrzypcach, jak się kłaniać, jak przy stole siedzieć; drugi kontynuować szkolne nauki, z których egzamina w domu zawsze parę fasek masła kosztowały. O Płachetko, niech ci Bóg przebaczy, przed którym stoisz, ale ja ci nie mogę zapo-

mnieć, żeś mój czas najpiękniejszy od r. 1807—1809 zabił, zamordował bez litości...“

Młody Aleksander niewiele okazywał zdolności, albowiem słabą miał pamięć, rezultaty też nauki i z tego powodu nie były świetne. Z usposobienia taki zaś był eichy, spokojny, raczej do smętnych dumań, aniżeli do pustej wesołości skłonny, że go w rodzinie zwano „młodym staruszkiem“.

Dzieckiem był kilka razy w lwowskim teatrze, raz nawet z p. Płachetką i z braćmi na przedstawieniu głośnej wówczas, pełnej przesadnych efektów sztuce, pod tytułem: *Puszcza pod Hermanstadem*. Nie wiem już, czy owo przedstawienie, czy jaka inna sztuka nasunęła mu myśl napisania komedyi. „Miałem lat dwanaście — opowiada — kiedy pewnego razu tknęła mię jakaś myśl, i pochwycawszy kilka białych kart starego rejestru, zacząłem pisać komedję. Plan i wykonanie były dziełem jednej chwili natchnienia: Niedziela na wsi; państwa nie ma w domu; pojechali w sąsiedztwo, zostały się same dzieci i nudzą się na zabój, bo zapomniano dać im rodzynków i migdałów na bankiet, którego przyrządzenie należy do najmilszych zabaw tego wieku. Cóż tu począć? Jak temu zaradzić? Michał, lokaj, przebiegły i łakomy, ofiaruje się wyprowadzić dziatwę z przykrego położenia, wpada na concept ubrać się w prześcieradło, i udając ducha nieboszczki babki, straszyc starą klucznicę. Przestraszona klucznica oddaje klucze od spiżarni, i sama chowa głowę w beczkę mąki... Rozwiązanie — sąd moralny — a wszystko pod tytułem: *Strach nastraszony*.

Młodzieńczy autor nie spoczął na laurach, nie dość mu było pisać komedję, spróbował się w tragedji. Snuły mu się po głowie dramata wielkiego rozmiaru, ale że Trawiński dużo opowiadał o generale Jasińskim, o jego bohaterskich czynach w roku 1794, więc powstał w głowie dramat pod tytułem *Rzeź Pragi* „Dramat ten nigdy nie doczekał się końca — mówi Fredro — ale miał swój plan, spis osób i pierwszą apostrofę do rodzinnej ziemi: „O ty która!“ lub coś podobnego; wtenczas jeszcze ani mi się śniło nawet, że kiedyś przyjdzie mi chęć pisania komedyi“.

Nastały też czasy, w których młody umysł czem innem był zajęty, mnóstwo wrażeń się cisnęło i odrywało nietylko od nauki, ale nawet od pisarskich zapędów. Pierwsze takie wrażenie sięga roku 1806, kiedy Aleksander miał lat 13 i zachowało się nadzwyczaj żywo w pamięci poety. Piszę ou w albumie: „Pamiętam dobrze, późna była jesień (1806), w niebieskim gabinecie ognień szemrał na kominku, mój ojciec, Bieguński grali w l'hombra, Lu-

dwisia haftowała. Ja jako najstarszy, już nie dziecko, jeszcze nie młokos, komenderowałem w sali zabawy młodszego rodzeństwa, Cesi, Juleia, Henryka i Edwardka. W tem drzwi się otwierają nagle i wchodzi Józef Szumlański z moimi braćmi, Maksymilianem i Sewerynem. Pierwszy od dawna bawił w Puławach, drugi od śmierci naszej matki, więc jeszcze roku nie było. Maksymilian oddał list ojcu, starsi długo półgłosem rozmawiali, dzieci poszły spać... Nazajutrz zaprzężono do brodzkiej bryki cztery konie srokate; w południe już naszych gości nie było. Znowu cisza osiadła na jednostajnych dniach, na wlokących się jesiennych wieczorach. Nikt w domu nie zgadnął przyczyny tych krótkich odwiedzin, dopiero w kilka miesięcy powiedziano mi w największym sekrecie, że braćcia są w Warszawie w polskim wojsku oficerami“.

Drugie, podobne wrażenie z r. 1809. Matka, pani Maryanna Fredrowa już nie żyła, Aleksander bawił przy ojcu, gdy się rozeszła wiadomość, że szlachtę i nieszlachtę będą brać do austriackiego wojska. Czem prędzej więc wyprawiono młodego Aleksandra do Nienadowy, gdzie mieszkali wujowie Wojciech i Antoni Dembińscy, sądzono bowiem, że w razie niebezpieczeństw chłopak łatwiej się na wsi przed branką ukryć potrafi.

Tam jednak inna czekała go niespodzianka. Nadeszły wiadomości o postanowieniach Napoleona, o księciu Poniatowskim, a tuż za wiadomościami, z szybkością gromu pojawił się oddział ułanów polskich w Dubiecku, przyczem się nie obezło bez smutnego zajścia, bo wachmistrz od ułanów, postąpiwszy niehonorowo, życie sobie odebrał. Barwny ten epizod opisuje Fredro w swych wspomnieniach *Trzy po trzy*.

Po kilku dniach wyjechał Aleksander do Lwowa — za ułanami, a na tym wyjeździe zakończyły się nauki szesnastoletniego młodzieńca.

## II.

Pobył we Lwowie należał do najprzyjemniejszych wspomnień. „Trzeba było mnie widzieć — powiada poeta — kiedy łeb wypudrowany, frak o guzikach wielkości moskiewskich kopijek, buty ze sztylpami, w zegarku siedem pieczętek rzeszowskiej roboty, przybyłem na wieczor do wojewodziny bełzkiej. Otoczony, wypytywany, nie mogłem nastarczyć powtarzań szczegółów wypadku Dubieckiego. Z Olesia stałem się Aleksandrem“.

Lwowskie salony były wówczas bardzo ciekawe i charakterystyczne; do najgłośniejszych, najgościnniejszych należał salon wojewody bełskiego, Teodora Potockiego, który zwano domem pani wojewodziny i salon pp. Adamów Potockich, znany jako dom pani Adamowej. Mnóstwo typowych postaci mogło uderzać młodociany umysł, sama wojewodzina, kobieta rozumna, dumna, pełna jeszcze tradycyi z przeszłego stulecia, pani Adamowa natomiast żadna zabaw i życia; około nich snujące się ciągle pierwsze nazwiska z całej Polski, żelazne, jeszcze twarde charaktery, mogące służyć za model do wojewody w *Zemście*, albo miękkie szambelany z czasów Stanisława Augusta. Lub też ludzie powstałi wśród nowych stosunków, jak np. taki mecenas Dzierzkowski, zręczny, giętkich zasad człowiek, albo młody K., kawaler tehnący bergamotem, pudrem sypiący, szastający się, nadskakujący kobietom, którego przeznaczeniem było być zawsze arcymłodym, a powołaniem robić ciągle długi. Jeżeli sobie jeszcze wyobrazimy licznych wojskowych, młodych bohaterów z pod orłów Napoleona — to fizyonomia towarzystwa musiała się zarysować w fantazyi Fredry w nader jaskrawych i soczystych barwach. A w domu pana Jacka było jeszcze barwniej aniżeli gdzieindziej, bo gospodarz należał do tymczasowego rządu i miał sobie powierzony wydział dóbr narodowych, salin i lasów, a przeto mnóstwo się tam przewijało ludzi czynnych, rzutnych, rozpromienionych wielkimi nadziejami. Wypadki jednak następowały wówczas szybko po sobie, nie było czasu zdejmować wzorków, krew młodzieńcza wrzała, granatowy mundur starczył za wszelkie obrazy fantazyi, za wszelkie ideały.

Prosto z lwowskich salonów wszedł też Aleksander na inną szerszą arenę, wstąpił 25 maja 1809 jako ochotnik do wojska Księstwa Warszawskiego, a mianowicie do formującego się we Lwowie 11 pułku ułanów.

O tej chwili mówi Fredro: „Miałem wtedy lat szesnaście i z bardzo miernym zasobem naukowym, obok niejakiej znajomości książek różnej wartości i treści, mianowicie francuskich, uczułem pociąg do stanu wojskowego i wstąpiłem w szeregi wojsk Księstwa Warszawskiego, które wkroczyły do Galicyi. Odtąd zaczęła się dla mnie szkoła świata, najpraktyczniejsza, najbardziej urozmaicona, a razem najsmętniejsza ze wszystkich szkół, w jakich się mamy uzyć doświadczenia“.

W armii napoleońskiej zastał Aleksander dwóch starszych braci Seweryna i Maksymiliana, którzy już wtedy niemało mieli zasługi. Zachęty on nie potrzebował, ani przykładu, bo dzielna, mło-



dzieńcza dusza nie pragnęła niczego jak tylko walki, śmiałych czynów, nie rozkoszowała się jak tylko w szczerem, koleżeńskim życiu — ale w braciach znalazł rodzinę wśród armii, a to go jeszcze więcej przywiązywało do dzielnych szeregów. Do związku krwi przybył związek chwały, przebytych cierpień i trudów, i pozostał na zawsze nierozzerwanym węzłem pomiędzy trzema braćmi.

Maksymilian również jak Seweryn zaciągnęli się jeszcze w r. 1806 do drugiego pułku piechoty „Stasia“ Potockiego. Seweryn szybko dobijał się sławy, gdyż już w r. 1808 w Madrycie otrzymał epolety kapitana, a z pod Samosierry wyniósł część tych warzynnów, które spadły na pułk lekkokonny.

• W roku 1809 odbył wyprawę w Niemczech, wyniósł z niej krzyż kawalerski legii honorowej, po bitwie zaś pod Wagram, w której się odznaczył, został policzony do szlachty cesarstwa (*chevalier de l'Empire*) i uposażony dotacją wieczystą 1000 franków, zapewnioną na kanale *de l'Ourque*, którą pobierał do śmierci.

W ciągu tej kampanii chciał cesarz Napoleon zaprowadzić order wojskowy i zakon „trzech połączonych znaków złotego runa“, a gdy wyszedł rozkaz, aby z każdego pułku armii wybrano najzasłużniejszych, jednego szeregowego i jednego oficera, był Seweryn Fredro jednym, którego za zgodą całego pułku podano do tego zaszczytu. Utworzenie jednak orderu nie przyszło do skutku z powodu zawartego pokoju w Schönbrunie.

Maksymilian również świetnie a zasłużenie szedł naprzód w szeregach wielkiej armii; z razu został adjutantem księcia Józefa Poniatowskiego, później, będąc szefem szwadronu w drugim pułku ułanów Tyszkiewicza, odbył kampanię roku 1809 a następnie został gros-majorem w piątym pułku strzelców konnych.

Oprócz cnót wojskowych odznaczali się obydwaj bracia znakomitemi towarzyskimi zaletami; pełni dowcipu i humoru, prawdziwie sobie zyskali popularność w armii. Maksymilian pisywał bardzo ładne wiersze, a niektóre były z nich później drukowane w pismach czasowych i w *Polyhymnii*, zbiorze poezyj, który wyszedł we Lwowie.

Obok takich więc braci znalazł się Aleksander w armii. W kilkanaście dni po zaciągnięciu się do szeregów postąpił na podporucznika (9 czerwca 1809), a w roku 1811 został już adjutant-majorem w piątym pułku strzelców konnych, w którym Maksymilian był gros-majorem.

Epokę tę swego życia opisał Fredro w *Trzech po trzy*, więc bliżej w nią wchodzić nie będziemy. Tyle tylko wspomnieć musimy,

że Aleksander obok Maksymiliana odbył kampanię roku 1812, i że obydwoj w niej wiele wycierpieli. Maksymilian wszakże wyszedł szczęśliwie, Aleksander zaś, przybywszy do Wilna, zachorował na tyfus i dostał się tym sposobem do niewoli. Umiał się jednak wydobyć z lazaretu, przekradł się przez rosyjskie strażę, a w pół roku połączył ze swoimi w Dreźnie w czasie zawieszenia broni.

Odmienne były w roku 1812 losy Seweryna. Wyruszył on już jako dowódzca szwadronu, w randze pułkownika, z wielką armią na wyprawę rosyjską, został jednak z nad Dźwiny odkomenderowany do Gdańska, gdzie formował piąty szwadron lekko-konnej gwardyi polskiej, po największej części złożonej z ochotników litewskich i szkolnej młodzieży wileńskiej. Z tym to oddziałem eskortował cesarza na znacznej przestrzeni, w czasie wielkich mrozów, i wtedy ściągnął sobie przeziębienie, które się później stało jego śmierci przyczyną.

Maksymilian otrzymał po moskiewskiej kampanii dowództwo 9 pułku lansyerów francuskich, a ranny później kilka razy pod Kulmem został wzięty w rosyjską niewolę i tym sposobem oddzielony od młodszych braci.

Natomiast Aleksander i Seweryn zbliżyli się do siebie. Aleksander przybył z rosyjskiego lazaretu do domu 10 sierpnia 1813 i został przyłączony do głównego sztabu armii w randze kapitana sztabu. Szczęśliwym zaś zdarzeniem i Seweryn się tam znalazł, bo komenderował sztabowym szwadronem.

Świetny czyn wojskowy Seweryna w owej kampanii (r. 1813) zapisany zastał pomiędzy najpiękniejszymi tryumfami polskich wojskowych, natarł on bowiem pod Peterswalde dwoma szwadronami lekkokonnej gwardyi polskiej na pięć szwadronów nieprzyjacielskich huzarów, zniósł je i zabrał w niewolę pułkownika Blüchera, starszego syna sławnego jenerała, marszałka polnego wojsk pruskich.

Najświetniejsze wszakże czyny dzielnych żołnierzy na nie się wtedy nie przydały. Napoleon musiał uleść przemoccy a staczając mordercze bitwy cofał się do Paryża.

Temi krwawymi śladami szli i dwaj Fredrowie, dopóki się nie znaleźli na bruku stolicy Francyi.

Z rozrzewnieniem wspominał później Aleksander o wojskowym z braćmi koleżeństwie. W albumie, w którym najserdeczniejsze swe złożył wspomnienia, z żalnością się do nich zwraca: „O, bracia moi, Maksymilianie, opiekunie pierwszych w świat kroków moich, towarzyszu broni, kolego na tem wąskim polu autorstwa, któreśmy bez

zawiści przebiegli razem. I ty Sewerynie, z którym uczyłem się, kolegowałem i następnie przeszło lat 30 nieodstępnie prawie przeżyłem — jakże mi was nie dostaje? Jak smutno samemu w przeszłość spoglądać! Nie mam już do kogo powiedzieć: *Te souviens tu?*“

Pobyt w Paryżu po kampanii r. 1813 ważny miał wpływ na umysłowy rozwój Aleksandra; z jednej strony braterskie, pełne wyłania koleżeństwo utrzymywało go ciągle pomiędzy swoimi, pomiędzy rodzinnymi charakterami, z drugiej społeczeństwo, teatr francuski nowy dlań świat otwierały. Mógł się przejmować całą wielkością nowej francuskiej sceny, a przecież co chwilę wracać na grunt własny. Paryska scena przeszła oczekiwania Aleksandra. „Zrobiła ona na mnie — mówi — nieopisane wrażenie, odpowiednie memu wewnętrznemu usposobieniu, a przytem całkiem nowe. Lwów bowiem nie miał wtedy stałej sceny polskiej; a jeżeli bywałem kiedy na przedstawieniach teatralnych, to najczęściej wykonywali je amatorowie; a tak nie mogłem mieć jasnego pojęcia o potędze tej sztuki“.

Występował wtedy Talma w Paryżu; ale sławny tragik nie podobał się Fredrze, zdawał mn się przesadnym, nieprawdziwym; natomiast komedia najzupełniej umysł jego podbiła.

„Tragedya francuska — pisał później — lubo szczyliła się wówczas królem tragików, Talmą, znalazła mię prawie obojętnym widzem; przesadna deklamacya, ruchy konwencyonalne, monotonia aleksandrynów, ziębiąca wszelkie ciepło, w ogóle nie mogła mi się podobać, nie nie wiedzącemu o trzech jednościach. Przeciwnie wiodwil, komedia, wprawiała mię w zachwycenie. Pierwszy raz widziałem tam skończonych i doskonałych artystów, utrzymujących grą samą najlichsze nieraz ramoty, i wtedy to powziąłem przekonanie, wzmocone z czasem, że nie ma dzieła dramatycznego, choćby jak mistrzowsko przeprowadzonego i wykończzonego w częściach, któreby się obeszło bez dalszego rozwinięcia i podniesienia dobrą grą artystów“.

Od czasów chłopięcych nie próbował się Fredro w komedyi, bo w czynnem wojskowem życiu nie było czasu na wykonanie dłuższych literackich planów, ulotne jednak pomiędzy kolegów rzucał wierszyki, czasem rzewne, częściej pełne humoru. „Zawsze mię coś do bazgrania ciągnęło — powiada — tym sposobem w r. 1810 po raz pierwszy dowiedziałem się, że mógłbym składać wiersze. Jakieś zdarzenie, nie pamiętam, czy wesołe, czy smutne, podało mi sposobność do napisania rymów, które latały z rąk do rąk, i zarobiły w moim pułku na niesłychane pochwały. Jeden tylko ze

światlejszych kolegów zrobił mi uwagę, że w wielu wierszach brakuje średniówki.

— Średniówki? — zapytałem zdziwiony — nigdy o niej nie słyszałem.

Kolega podjął się wytłómaczyć mi znaczenie średniówki, i to była pierwsza lekcya prawideł rymotwórstwa polskiego.

Dopiero w Paryżu było więcej czasu do czytania, do spostrzeżania, i tam wzbogacił się umysł Fredry obeznaniem się ze sceną, z formą, z owemi drobnostkami, bez których największe arcydzieło upada na deskach teatralnych.

Umysł wywiózł ztamtąd mimowiednie praktykę sceny, serce zaś szczerze dla kilku kolegów przywiązanie. A przedewszystkiem Ludwik hr. Jelski, późniejszy radca stanu Królestwa Kongresowego, i Henryk Milberg, późniejszy generał brygady po r. 1830, stanowili z nim tryumwirat znany w całym pułku; do bliskich należeli także Józef hr. Grabowski z Poznańskiego, przyjaciel Mickiewicza, Kisielewski z Warszawy, Feliks Boznański z Galicyi, znany w r. 1848 wierszokleta — wszystko dusze szlachetne, pełne prawości i zapału.

Te koleżeńskie z szeregów stosunki zostały poecie najmiłsze na całe życie; po towarzyszach broni nie miał już później przyjaciół, którymby zaufał, miał tylko znajomych. Gdy też generał Józef Załuski w późniejszych czasach przysłał mu egzemplarz swych wspomnień o pułku lekko-konnym, to się serce ścisnęło posiwiątemu poecie i narzekał przed towarzyszem broni:

Że za granicą wspomnień i pamiątek  
Coraz nam ciszej, coraz ciszej w życiu,  
Gdzieniegdzie tylko, jak kłos w gradobiciu,  
Z proporcem w rękę stoi jeszcze szczałek.

Ale po tem narzekaniu odezwał się w starym ułanie głos poeciechy:

Lecz w kłosie ziarno nie może pójść marnie,  
Padnie powoli na ojczystą ziemię,  
A wiara w Bogu, i w ziemi i w ziarnie,  
Polskich ułanów nie zagaśnie plemię.

W owych już wszakże czasach, w czasach kiedy był otoczony szczerze go kochającymi, uwielbiającymi go nawet kolegami, kiedy nie doznał większych w świecie zawodów, przebija w usposobieniu Aleksandra pewien smutek, pewne zrażenie się do świata, a w charakterze wielkie ludziom niedowierzanie.

Zawody wojskowe, nieszczęśliwa kampania r. 1814, w której także brał udział, upadek Napoleona, wzmocniły to ziarno goryczy, które tkwiło w duszy, i bujnie mu wrość pozwoliły. Z zajęciem gwiazdy wielkiego wodza i sam nie znalazł dalszych pobudek do służenia w wojsku, wręczył więc swe podanie o dymisyę i został uwolniony 30 grudnia 1815 r. Wynosił ze służby wojskowej wspomnienia z kilkunastu bitew (pod Romanowem, Smoleńskiem, Moźdzajskiem, pod Berezyną w r. 1813, pod Dreznem, Lipskiem, Hanau w innych; w r. 1814 pod Brienne, Champ-Aubert, Château-Thierry, Montmirail, Montereau, Arcis-sur-Aube, Craon, Laon i Rheims), stopień kapitana sztabu wielkiej armii i dwa dobrze zasłużone krzyże, złoty *Virtuti militari* i legii honorowej, a później medal św. Heleny.

Powrót do kraju opowiada poeta w swym wierszu: *Pro memoria*:

Wyjechaliśmy razem... nie z równych pobudek,  
 Napoleon na Elbę, ja prosto do Rudek.  
 Tęskniłem za obozem, nudziłem się przeto,  
 I ażeby coś robić, zostałem poetą.  
 Poetą! tam do licha — to przecie nie żarty!  
 Byłżeś przynajmniej silną nauką podparty?  
 Ale gdzie tam? Byłem sobie ot szesnastoletnym  
 Pośród dwóch guwernerów nieukiem kompletnym,  
 Nigdy mi się nad książką nie marszczyło czoło,  
 Trąbka myśliwska w kniei była moją szkołą.  
 A kiedy niespodzianie zafurknął proporzec,  
 W to mi graj! Porzucając rodzicielski dworzec,  
 Żegnając biblioteki zasuwę spokojne,  
 Z radosnem uniesieniem ruszyłem na wojnę.

A gdy później przedeptał niemało krajów, gdy w niejednej krwawej był bitwie, „ze sześciomiesięcznym w niewoli popasem“, mówi dalej o sobie:

Wróciłem z niewiększym nauki zapasem,  
 Wróciłem, prawdę mówiąc, bez celu do kraju,  
 Lecz z pękiem doświadczenia różnego rodzaju.

Powrót ten nie tak się rzeczywiście czarno przedstawiał, jak go opisał poeta — było po co wracać, i niejednemuby serce zadrdzało, gdyby miał taki cel przed sobą — zwycięstwo na wszystkich scenach polskich.

We Lwowie przyjęto z otwartymi rękami napoleońskiego żołnierza; znano go owym młodzikiem wypudrowanym, z siedmioma

pieczętkami rzeszowskiej roboty, a powitano niemal jako bohatera, na którego także spadała część napoleońskiej sławy, brzmiącej jeszcze mimo kongresu wiedeńskiego. Równocześnie z Aleksandrem powróciło więcej młodzieży; Seweryn Fredro także już był w domu wzięwszy dymisję w roku 1814.

„Urok bohaterstwa — mówi Fredro — żywe zajęcie się nowością, nadało tej młodzieży pewną udziałność w kołach towarzyskich, tak, że ona jedna ton nadawała zabawom, zebraniom się, zgoda codziennemu trybowi życia.

„Ujrzałem się w tym wirze i byłem przezeń porwany; a choć wewnątrz czułem niesmak, a tem samem potrzebę ukazania jak w zwierciadle fizyognomii tego społeczeństwa temu samemu społeczeństwu, aby się zreflektowało i weszło w siebie, nie śmiałem przecież chwycić za pióro, nie mając jeszcze objawienia autorskiego zawodu“.

Pan Jacek przepędzał zimy od roku 1807 we Lwowie a gdy Aleksander wrócił ze świata, to zastał dom rodzinny w mieście. Przy ojcu bowiem, który już sobie pofolgował po trudach wiejskiego życia, mieszkaly dwie córki, a jakie to były kobiety — posłuchajmy zwierzeń poety:

„Jeżeli obowiązki córki, żony, matki, pełnione z poświęceniem się nieustannem, ściągnąć mogą promyk świętości, pewnie ten świeci nad duszami sióstr moich Ludwika Rozwadowskiej i Cecylii Jabłonowskiej. Jak ciche enoty przesunęły się niezważane, bo same nie zdawały się mieć pojęcia swojej wartości. Ludwika po śmierci swego męża (1813) została z dwojgiem dzieci bez majątku prawie, powróciła więc w dom ojcowski. Kiedy synowie rozstrzeleni na wszystkie strony rzadkiem byli towarzystwem dla starego ojca, ona z wzrastającą Cecylią otaczały go niezmordowaną troskliwością. A gdy Cecylia poszła za męża, a ojciec coraz częściej zapadał na zdrowiu, ona była zawsze nieodstępna jego łoża boleści i ona zawarła mu oczy (1828)“.

W ostatnim lat dziesiątku życia niemal się pan Jacek trudnił publicznymi sprawami; powołany w r. 1817 do współudziału w stanach galicyjskich, został niebawem mianowany strażnikiem wielkim Królestwa Galicyi i Lodomeryi, a gdy trzeźwa, umiarkowana jego myśl powszechnie sobie zyskała uznanie, rząd nie widział w zgromadzeniu stanowym bardziej pojednawczej, bardziej poważanej nad niego osobistości, i powołał go, stosownie do ustaw stanowych, na swego pełnomocnika na sejmach postulatowych w roku 1819.

Mimo wszelkich ponęt, jakie dla Aleksandra mógł mieć po długiem niewidzeniu dom rodzicielski, nie mógł długo bawić w mieście. Trzeba było wziąć się do gospodarstwa, pracować. Pan Jacek przyzwyczajał synów do oszczędności, worek ścisnął, dał Napoleoniczkowi folwarczek, Jatwiegę pod Rudkami, i kazał się chleba dorabiać. Przesłano tam jeszcze cokolwiek zaległej gaży, ale jak zaczęli odciągać na inwalidów, na zmianę pieniędzy, to się nie zostało jak 480 franków. Nie było za co hulać, przyjeżdżało się do Lwowa najczęściej tylko na karnawał, i to sprzedaż ubitych w jesieni lisów stanowiła główny dochód na opędzenie miejskich wydatków.

W Jatwiegach niewielkie było gospodarstwo, więc na autorstwo, na czytanie znalazło się czasu podostatkiem. A jak się dotąd niewiele czytało, to dość powiedzieć, że Moliera prawie nie znał przyszedł komedyopisarz i zaledwie *Amfiryona* widział na paryskiej scenie. Żyd antykwarz przyniósł mu jednak we Lwowie całkowite wydanie twórcy nowej komedyi — i położył ten samem fundament literackiego wykształcenia Fredry.

„Biorąc za przewodnika — mówi Fredro — wzór tak nieśmiertelny, wyraźnie zacząłem pojmować powołanie autora dramatycznego, i odtąd wziąłem się do studyów na seryo“.

Do Moliera przybył niebawem Goldoni, który się wkrótce stał jednym z najulubieńszych pisarzy młodego poety. Tacy autorowie mogli zachęcić do pisania, ale ostrogi tak bardzo nie było potrzeba, bo wiersze się same układały przy lada zdarzonej sposobności, a koledzy wojskowi prosili, aby pióra nie porzucać.

Jelski, ów członek tryumwiratu, przetłómaczył nawet, jak umiał, *Obraz prawdziwego poety* z francuskiego Collin-Harleville i przysłał mu ten wiersz z Warszawy, aby go zachęcić do dążenia do tego ideału. Woła on w nim przyjacielowi:

O! ileż wart szacunku, jak go kochać trzeba,  
Poetę, co uniesion boskim ogniem Feba,  
Cały sztuce oddany, w wierszach szuka chwały,  
Myślą nieśmiertelności uniesiony cały.

Jelski poznał w obozie całą siłę talentu Fredry, a w każdym jego liście pisany z Warszawy lub z Litwy do przyjaciela (roku 1814 i 1815) przebija troska o to, aby pisać nie przestał. Fredro nawzajem go się raz pyta, czy co wierszem pisze?

— Nie urodziłem się ja poetą — odpowiada skromnie Jelski — jak ty Aleksandrze. Muza twoją pobudziła wprawdzie moja

ale jej nie stworzyła, ośmielona przez ciebie beknęła dwa razy i na nowo wiecznym snem zasnęła.

Inny obozowy kolega, Józef Grabowski, natargiwszy się upomina o przysłanie mu wierszów, które Fredro pisał we Francji i w kraju po powrocie. Poeta tłumaczy się, że nic nie pisze, ale koledzy, znając go, nie wierzą.

„Mimo wszelkich w tych listach wymówek — pisze Grabowski — przekonany jestem, że godne autora swego wierszyki nieraz wolne zajmują godziny. Wiadomo ci, kochany przyjacielu, ile ja zawsze twój talent i przymioty szacowałem, i ile razy z wesołości i konceptów twych żartobliwych i dowcipnych zaledwie serdecznego nie dostałem śmiechu“.

Fredro jednak nie tylko do przesyłania wierszy, ale nawet do odpisywania na listy nieskory, wiersze układa dla siebie, a do pisania listów ma wstręt nieprzewyjężony.

Gniewa to przyjaciół, to też Jelski pisze mu 3 marca 1815 roku list pełen wyrzutów. „Obiecałeś mi przysłać twój *Strumyk* — powiada — tyłem cię razy o to prosiłem, dotąd jednak nie widzę skutku tej obietnicy. Jeżeli w pierwszym liście mi go nie przysłesz, wezmę ci to za złe“.

Ale Fredro niepoprawny; na kilka listów o czterech bitych stronicach odpisuje kilkanaście wierszy. Jelski zna go jednak pod tym względem, i już się nie gniewa, ale spokojnie odpowiada: „Szesnaście wierszy wraz z podpisem, i pół wiersza przypisku, jak na pierwszy list po tak długiej przerwie dowodzą znane mi dobrze twoje lenistwo...“

Chociaż Fredro długich nie pisywał listów, przecież szczerą zachowywał przyjaźń dla swych wojskowych kolegów. Niestety, najbliżsi oprócz brata, Seweryna, mieszkali daleko, Feliks Boznański tylko był w pobliżu; nie orzeł, nawet nie sokół, ale chłopak z sercem na dłoni, z krwią gorącą, niezgorszym humorem, zapalona pałka, a przytem trochę wierszokleta. Fredro go lubił, chętnie w swym dworku przyjmował, bo było z kim u upłynionych pogadać czasach i z kim pożartować.

Niewyczerpanem źródłem dowcipów pomiędzy nimi był rudy kolor ich włosów. Fredrę z tego powodu „Rudziem“ zwano, a Boznański także miał czerwoną głowę. Trzeci się jeszcze do nich dobrał, rudy Dzwonkowski z Tarnowskiego i nie ich tak nie cieszyło, jak gdy we trzech mogli się pokazać w jakim towarzystwie. Ba, ale na lwowskiej scenie zaczęto przedstawiać dwa dramaty, w których bohaterowie, wielkie łotry, w rude się ubierali peruki. Obeszło



to Boznanskiego, chciał, żeby Fredro z tego powodu jaki dowcipny wiersz napisał, zachęcał go do tego:

Słuchaj! już to oddawna niepoczeiwe głosy,  
Kłatwę rzucać zaczęły na czerwone włosy,  
A co więcej urwisza w dramatycznej sztuce  
Już nie ujrzysz inaczej, jak w rudej peruce,  
I cóż? każdy z taką głową, choć poczeiwa dusza,  
Nie może zdjąć w teatrze swego kapelusza.

Woła więc Boznański: w dalszej apostrofie, aby mu Fredro dopomógł walczyć w imię honoru rudych włosów, ale Fredro miał już wówczas coś lepszego do pisania i do studyowania, aniżeli ucinki o rudych włosach, z którymi mu zresztą nie było nie do twarzy. Wśród ciszy dworku w Jatwięgach, przerywanej chyba odgłosem myśliwskiej trąbki, zaczynał się poważny okres pisarski Fredry.

Rzecz jednak szczególna, że ten, który tyle miał później tworzyć, zaczynał owe ważne czasy w swem życiu od napisania krytyki, i to krytyki świeżo wyszłej komedyi Niemcewicza: *Pan Nowina*, którą porąbał niemiłosiernie i jak później utrzymywał „w najnie-dorzeczniejszy sposób“. Robił on wtedy studia, czytał obok obcych komedyopisarzy polskich autorów, ale niewiele z nich mógł korzystać. Krytyka ta wszakże zapowiadała, że Fredro poważnie zamierza traktować swój zawód. Przygotowanie do autorstwa było krótkie, a przecież do świetnych doprowadziło rezultatów.

### III.

Gdyby Fredro nie był melancholikiem. gdyby czarno nie patrzył na ludzi — możebyśmy w nim nie mieli tak znakomitego komedyopisarza. Aby być prawdziwie dowcipnym, trzeba posiadać gruntowną ludzi znajomość, aby być humorystą, potrzeba prócz tego mieć wiele uczucia — a komu dane jedno i drugie, ten szybko zgorzknienie, bo pozna, ile w świecie złego, i jak mu trudno zaradzić.

To też nie ma prawie wypadku, aby wielki humor i wielki dowcip nie spotykały się z wrodzonym smutkiem. Błędne tutaj koło w ludzkiej naturze; kto się rodzi już z pewnym żółci zapasem, ten czasem pozbywa się pesymizmu i goryczy, jeżeli lekko po świecie szybuje, jeśli jednak zmierzy całą potęgę głupstwa i złości, jeśli ma wzrok poważny, już chyba ze swej żółciowości nigdy się nie wyleczy.

Tak było i z Fredrą, miał on z natury wiele goryczy, ale miał tyle daru spostrzegawczego, tyle serca, że go już świat z niej nie wyleczył. Owszem, im się szło dalej, tem było gorzej, a zanim został komedyopisarzem, już nie miał w sercu szczęścia i spokoju...

Przypisywał to samemu tylko doświadczeniu, poznaniu złego świata, przekonaniu, że wszystkim rządzi interes — i miał po części słuszność, ale tylko w części, bo wiele trzeba było położyć na karb owego wrodzonego usposobienia, wrodzonej goryczy. Z razu, dopóki go jeszcze świeże z kolegami wiązały stosunki, żalił się z tego powodu przed nimi, a przedewszystkiem przed Jelskim, narzekał, że z doświadczeniem przyszła zupełna w ludzi niewiara, że coraz bardziej traci spokój duszy, coraz więcej czuje się nieszczęśliwym. Jelski stara się zbić to zapatrywanie, stara go się na swoją nawrócić wiarę. „Uważ — pisze doń w liście z 9 września 1814 — czyli poznanie świata nie staje się źródłem prawdziwych rozkoszy. Niedowiarstwo samo, na które się tyle uskarżasz, ileż ci słodkich chwil gotuje, kiedy umiejac już odróżnić szczerłość od obłudy, nigdy więcej od ostatniej nieoszukany, tem silniej pierwszej zaufasz, im zaufanie to na gruntowniejszym wyborze zasadzać się będzie“.

Znał już Jelski swego towarzysza broni, że lubi na wszystko patrzeć czarno, to też go zaklina: „Przestań już każdą rzecz z czarnej tylko wystawiać sobie strony; nie mówię, abyś miał wszędzie kwiaty znajdować, ale pomnij na to zawsze, że tem przyjemniejszy zapach, im po brzydszej następuje woni. A jest coś w naturze ludzkiej, za co wieczną wdzięczność Stwórey mieć powinniśmy, że nigdy cierpienia tyle na nas wrażenia nie robią, ile rozkosz“.

A dalej znów pisze: „Żałuję cię szczerze, że chcesz koniecznie trwać w niespokojności, poznasz może kiedyś, że sam zawsze pierwszą tego byłeś przyczyną, nie przypisuj wszakże nieszczęśliwej tej dla ciebie wady doświadczeniu, ale raczej tegoż brakowi“.

Wreszcie pociesza go, że jak się ożeni, to wszystko mu się w innem wyda świetle. „Znajdź tylko godną ciebie żonę, a wkrótce może ujrzysz Fredrunia, który żeby miał charakter ojca, a nadto humor szczęśliwy, byłby wzorem ludzi“.

Rada nie trafiła wtedy do przekonania, a może towarzystwo lwowskie, w którym był, nie dość silnie go związać umiało. Towarzystwo było wówczas dość hulaszcze, a przykład wielu kobiet nie zachęcał do małżeństwa. Bawiono się jednak dobrze, wesoło, gdyż, jak wiadomo, dobry humor nie zawsze z cnotą chodzi w parze. Młody żołnierz napoleoński byłby się zapał swego sztabu,

gdyby nie był korzystał z przelotnych przynajmniej zwycięstw. Fredro został jednak wierny cesarskim orłom...

Jeżeli jednak towarzystwo nie zachęcało do małżeństwa, to zachęcało z pewnością do pisania komedyi; mnóstwo wad i śmieszności uderzało umysł, pobudzało dowcip, parło do tego, aby je przedstawić na scenie. Talent Fredry nie szukał długo właściwych sobie torów.

„Bez żadnego przygotowania — powiada poeta — prawie bez namysłu, zasiadłem do stolika i napisałem wierszem jednoaktową komedię *Intryga na przedce*, z której to później w rozszerzonych ramach zrobił się *Nowy Don Kiszot*“.

Była więc komedia, ale czy dobra, czy ją można przedstawić na scenie? Autor nie był jeszcze pewny siebie, a w Jatwiegach i okolicy nie było się kogo poradzić.

„Widziałem się w kłopotliwym położeniu — opowiada Fredro — Szło mi o to, żebym mógł komuś pierworodny przeczytać, zasięgnąć zdrowej rady, i dowiedzieć się, czy warto psuć czas i papier? Na nieszczęście nie było żadnego literackiego ogniska, żadnej powagi, do której miałbym nie już zaufanie, lecz śmiałość. Wprawdzie zaczął był Adam Chłędowski redagować *Pamiętnik Lwowski*, lecz płomień wznoszący się z tego stosu surowych gałęzi nie grzał ani świecił. Nie pozostało mi nic innego, tylko przez trzecią osobę posłać moją komedię Nepomucenowi Kamińskiemu, jedynemu znawcy i doświadczonemu praktykowi. Kamiński komedię pochwalił i zrobił uwagę, że jest w niej jakiś plan logicznie przeprowadzony. Komedia była grana i nikt o niej nie wspominał; odebrałem ją do poprawienia, aby już nigdy nie wróciła na scenę“.

W tym czasie miał Fredro weny do pisania, bo jeszcze inną napisał komedię *Kwita* i wodwil *Teatr na teatrze*, ale gdy Kamiński żądał, aby pierwszą skrócić, a do wodowilu dorabiać muzykę, więc obydwie sztuki przepadły w koszu.

Po tych dopiero próbach udał się Fredrze *Geldhab* (1819), ale i z tym nie szło łatwo. Mając wówczas interes w Warszawie wziął z sobą rękopis i dał do przeczytania Morawskiemu. Ale Morawski wolał o swych bajkach mówić, i zbył tem Fredrę, że wszystkim młodym autorom daje jedną radę: skracać, potem po jednej scenie czytał dni kilka, nareszeie zdecydował, że są dobre niektóre kawałki, ale lepiej byłoby we Lwowie przedstawiać, bo Warszawa nie zna takich „Geldhabów“. Z humorem opowiada poeta te pierwsze swoje literackie niepowodzenia:

Razu jednego, kiedy w malignie zasnąłem,  
 Wpadł mi palec w kałamarnicę i pisać zacząłem,  
 Oczywiście komedye, której bez nauki,  
 A na najpierwszych scenach pojąłem treść sztuki.  
 Pisałem więc z tą wieku młodego odwagą,  
 Co się często dla drugich ciężką staje plagą.  
 Chciałem zasięgnąć rady — ale na me nogi,  
 Literackich świeczników za wysokie progi,  
 I jeśli się zbliżyłem, bijąc kornem czołem.  
 Tak, czy siak, koniec końcem, zawsze szczerutka wziąłem.  
 U jednego trzy akty ledwie wyżebrałem,  
 Bo swoje bajki z ciągłym wygłaszał zapalem.  
 A finalnie półgębkiem skończył na odprawie.  
 Że podobnych Geldhabów nie mamy w Warszawie.  
 Drugi zaś nieruchomy klasyk ostrokuty,  
 Który z tej samej jednej zawsze śpiewał nuty,  
 Dał wyrok: że zły papier, atrament za bładny,  
 I ani słowa więcej: szukajcież tu rady!

Ten drugi, to Osiński, który, jak wiadomo, nie grzeszył uprzejmością dla młodych autorów, a tem mniej ich do pisania zachęcał. Osiński sławnie był leniwy i czytać nie lubił, nie dziw zatem, że się wymawiał bladym atramentem. Po roku wszakże przeczytał i przedstawił *Geldhaba* na warszawskiej scenie 7 października roku 1821.

To było pierwsze Fredry zwycięstwo, bo *Geldhab* się podobał i warszawska publiczność inne o nim miała zdanie, aniżeli klasycey. Powodzenie zachęciło widocznie autora, bo w krótkich po sobie odstępach napisał kilka nowych komedyj: *Cudzoziemszczyzna*, *Damy i huzary*, *Zrzędnosc i przekore*, a nadto przerobił *Intrygę na przedce* na *Nowego Donkiszota*. Błędy, które go w społeczeństwie najbardziej raziły: dorobkowiczostwo i francuzczyzna, najprzód dostały admonicyę, po wadach powszechnych przyszła kolej na ujemne charaktery, talent się potęgował, powstały komedye: *Mąż i żona*, *List*, *Pierwsza lepsza*, *Odludki i poeta*, *Przyjaciele*, *Gwaltu, co się dzieje!* *Nikt mnie nie zna* — te wszystkie aż po rok 1828, to jest po rok ożenienia się.

Z literatami, z areopagiem klasyków warszawskich miał Fredro jeszcze i po przedstawieniu *Geldhaba* niemało kłopotów, a z lenistwem Osińskiego najwięcej, tak, że już nieraz ochota go odchodziła do pisania, i skarżył się później, że

Po takich próbach, których i cząstki nie mieszczę,  
 Trzeba było jeść djabła, aby pisać jeszcze,

Publiczność tylko szczerze — tę miałem po sobie  
 Inaczej byłbym dernał zaraz w pierwszej dobie.  
 Przytem i teatralne dzienniki w Warszawie  
 Przemawiały od razu mniej więcej łaskawie,  
 Z lwowskich tylko, jak to mówią, i pies nie zaszczekał.

We Lwowie przedstawiono wprawdzie komedię *Mąż i żona* po raz pierwszy 29 kwietnia 1822 r., ale publiczność nie zdołała od razu ocenić, jakiego ma autora wśród siebie, a autor także nie czuł dość zachęty, aby jej dalej swych dzieł udzielać. Skończyło się zatem na tem odosobnionem przedstawieniu. Nie była to zresztą dobra chwila do wprowadzania nowych sztuk na scenę. Teatr pod dyrekcją Kamińskiego chylił się chwilowo ku upadkowi; nie było fuuduszów, długów natomiast bez liku, tak dalece, że towarzystwo rozwiązało się z początkiem sierpnia (1822). Krytyki też teatralnej nie było żadnej i żaden dziennik nie wspomniał o tak ważnym dla sceny zdarzeniu, jak ukazanie się Fredrowskiej komedyi.

W Warszawie załatwiał Fredrze literackie interesa kolega wojskowy, Kisielewski; na jego ręce posyłał poeta rękopisy Osieńskiemu, a w zamian dostawał numera dzienników, w których były recenzje. Kisielewski zdaje sprawę z reprezentacji, cieszy się, że *Zrządność i przekora* bardzo się podobała (pierwszy raz na scenie 29 grudnia 1822), i że ją dwa razy grano w jednym tygodniu, a przytem prosi o małą koncesyę, aby Geldhab na służbę nie wołał „łajdaki!“

Komedyja *Mąż i żona* leżała także długo w biurze Osieńskiego, grano ją pierwszy raz w pół roku po *Zrządności* 22 czerwca 1823 roku, ale za to oklaski były częste i „po ukończeniu się sztuki żądano widzieć autora“. Niektóre loże uważały sztukę za niedość moralną, tak dalece, że się Kisielewski obawia, aby ministrowi oświecenia nie przyszło zakazać grania tej komedyi. „Stare kwoki gorszyły się — dodaje żołnierskim stylem — a obydwie Oborskie, stara i młodsza, które były w teatrze, łają cię bardzo“.

*Nowy Donkiszot* także już był wtedy w ręku warszawskiej cenzury, i z szczególniejszego zakazano go grać powodu, oto, że się nie godzi Polaka robić Donkiszotem! Osieński się prosił, żeby autor przeniósł scenę z dóbr polskiego kasztelana do Hiszpanii, ale Fredro widocznie nie chciał zadość uczynić śmiesznym skrupułem cenzury, bo jak wiadomo, sztuka ta ani w Warszawie, ani też gdzieindziej nie była graną.

Trzy pierwsze komedye przełamały lody, a po ich przedstawieniu nie tylko publiczność stanęła po stronie poety, ale i dyrekcya

teatru się spostrzegła, że z niepospolitym ma do czynienia autorem, a gdy jej Fredro nową sztukę przysłał, to nawet nie miała sobie za ujmę grzecznie podziękować.

Odtąd już komedye Fredry nie schodziły z warszawskiej sceny.

Ale i do lwowskiego teatru wrócił niebawem. Dzięki nieustrudzonym zabiegom Kamińskiego zaczął się lwowski teatr znów podnosić w roku 1823 i następnych z chwilowego upadku. Zachęcony tem zapewne Fredro ofiarował rękopis swych komedyj dyrektorowi, pozwalając mu korzystać z niego dla sceny, pod warunkiem, że się zajmie dzieł wydrukowaniem. A ponieważ Kamiński uchodził wtedy za najlepszego znawcę języka ojczystego we Lwowie, miał przeto także poprawić rękopis według pisowni Śniadeckiego.

Z pozwolenia grania komedyi skorzystał Kamiński całym sercem, przedstawił zaraz z początkiem roku 1825: *Pierwszą lepszą*, dalej *Geldhaba*, *Cudzoziemszczyznę*, *Zrządność i przekorę*, a później inne. Z wydawnictwem dzieł szło jednak niesporo, bo zajęty teatrem Kamiński nie miał ani czasu ani ochoty szczerze się oddać temu dość trudnemu na owe czasy zadaniu. Ofiarował wydawnictwo księgarzom Kuhnowi i Milikowskiemu. „Wystawiłem im rzecz — pisze 25 kwietnia 1825 — w należytem świetle i byłem pewien ich korzyści. Miałem do wystawienia te powody: chciałem się Tobie hrabio pięknie, poprawnem wydaniem przysłużyć i dać prócz tego pomoc człowiekowi z familją od losu prześladowanemu, którego małemi pracami literackimi potajemnie zaopatrywałem, aby mu przynajmniej na codzienny chleb starczyć mogło“.

Księgarze przystają, ale w trakcie rzeczy okazuje się, że przepisywanie za wiele kosztuje, że drukarz nie będzie mógł drukować, że rękopis potrzeba posyłać do Warszawy, a wreszcie, że korekta żmudna i Kamińskiemu nie bardzo się chce tem zająć, „bo nie cięższego pod słońcem — powiada — jak praca tego rodzaju; łatwiej ziarenka maku liczyć, aniżeli się ustrzedz w rojach ezcionek i kresek — uchybień“.

Znudzony tem wszystkim Fredro, żąda, żeby się dzieła drukowały we Lwowie, a nie w Warszawie, a po niejakiś czasie wykupuje rękopis, płaci dziesięć dukatów kosztów przepisywania, a w swem *Pro memoria* zapisuje o tej całej historii kilka wierszy:

Z najmędrszym gramatykiem skromny układ robię,  
Darowałem mu pisma, ażeby poprawił,  
Potem wydał — a sobie wawrzyny zostawił.

Mędrzec wziął co chciał, a ja musiałem bez swatów,  
Uratować wawrzyny za dziesięć dukatów.

Rzeczywiście Kamiński wziął jakie chciał komedye do grania, a Fredro musiał się sam zająć wydawnictwem dzieł. Nie mogąc zaś dojść do celu z lwowskimi drukarzami, wydał pierwsze dwa tomy swych komedyj w Wiedniu w roku 1826, a dopiero dalsze tomy dodrukował we Lwowie, w r. 1830, 1834, 1838 i 1839.

(Dokończenie nastąpi).

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI.

# ALEKSANDER HR. FREDRO

(Dokończenie).

## IV.

U lirycznego poety, u malarza, wreszcie u krytyka lub historyka podróż do Włoch zwykle jest przełomem w życiu, od którego zmieniają się wyobrażenia o pięknie, forma w traktowaniu przedmiotu. Komedypisarz zbiera wszystkie swe wrażenia na rodzinnej niwie, nie dziw też, że kraina sztuki nie jest dlań ziemią obiecaną. Nie była nią także dla Fredry.

Jeździł on w roku 1824 do Włoch, z przyczyn, które wytlómaczyć trzeba.

Po skończonych wojnach został Maxymilian Fredro flegeladjutantem cesarza Aleksandra, później polskim generałem brygady, kuratorem uniwersytatu itd. Cesarz go bardzo lubił, towarzystwo warszawskie i petersburskie wyszczególniało jako człowieka wielkiego dowcipu, a nawet cesarskie swaty do tego się przyczyniły, że się ożenił z księżną Gołowin, siostrą pani Leonowej Potockiej. Młodzi państwo niedługo wszakże mieszkali w Petersburgu, ale wyjechali do Włoch, do Florencji. Do przyjaciółek pani Fredrowej liczyła się panna Buturlin, bogata dziedziczka, cóż więc prościejszego, jak napisać do Aleksandra, aby przyjechał do Florencji, a kto wie czy z żoną nie powróci?

Projekt nie był do odrzucenia; podróż do Włoch, widzenie się z bratem, posażna jedynaczka — wszystko to złożyło się, że Fredro w dni kilka siedział już w dyliżansie, jadącym do Wiednia. Florencja jednak nie zrobiła nań pożądanego wrażenia, pojechał do Rzymu, ale „splinem chwycony nawrócił do Rudek“. Ze spalo-



nego belka w kościele św. Pawła, z cedrów Libanu kazał zrobić krzyż i zawiózł księżnej jenerałowej Czartoryskiej do świątyni Sybilli. „Niezwyyczajny to był wybryk sentymentalności z mojej strony“ — dodaje komedyopisarz, opowiadając o tem.

Ten *spleen* miał jednak swoje przyczyny, Fredro nie jechał z wolnym sercem do Włoch, owszem uciekał przed myślą, która go ściagała, bo jej urzeczywistnienie zbyt niepodobnem mogło się wydawać. Fredro się kochał w młodej hr. Zofii Skarbkowej. Z razu nie przypuszczał możliwości rozwodu, więc wyjazd do Włoch był na rękę. *Spleen* go jednak nawrócił i zawiódł po drodze do Wiednia, a tam bawili właśnie hrabstwo. Ponowne widzenie się ożywiło uczucia — rodzina hrabiny (córci ks. Józefa Jabłonowskiego z Kreścienka) podała o rozwód, Fredro stanął nareszcie u progu swego szczęścia. Proces wkrótce się rozstrzygnął, hrabina została wolną, a ślub jej ponowny z Fredrą odbył się w Korczynie, w Sannockiem, 9 listopada 1828.

Była to u poety chwila większej wagi, aniżeli u każdego innego, bo jeżeli mógł kiedy mówić o szczęściu przy swem usposobieniu pełnem melancholii, to źródło tego szczęścia biło zawsze w zacnej małżonce, w rodzinie. Przez wszystkie jego wspomnienia przebija ta szczera, ta głęboka miłość, którą otaczał ognisko rodzinne; w pięknym wierszyku *Do mojej żony*, który już wtedy pisał, kiedy rachunek z całego życia był zrobiony, powiedział:

Kiedy na schyłku życia sunę myśl po niebie,  
Aniołem opiekuńczym zawsze widzę Ciebie,  
Dobra, wierna, poczeiwa towarzyszo życia,  
W sercu twojem niezłomna, święta była zbroja.

Z młodą małżonką zamieszkał Fredro w Beńkowej Wiszni, która mu przypadła w dziale w roku 1828, w rok po śmierci pana Jacka.

Domowe szczęście, które sobie stworzył tem małżeństwem, zdawało się i na talent oddziaływać, bo najpiękniejsze komedye napisał w pierwszych latach po ślubie. Wtedy powstały komedye: *Pan Jowialski*, następnie *Zemsta*, a wreszcie *Słuby panięskie*, a po nich, aż po rok 1835 *Nocleg w Apeninach*, *Ciotunia* i *Dożywocie*.

Zapał dla komedyi Fredry stał się powszechnym, ich tytuł na afiszu był dostatecznym, aby publiczność teatr zapełniła, a gdy kto z dalekich wieśniaków nie mógł oklaskami wyrazić swej wdzięczności dla autora, to przeczytawszy je, pisał listy do Fredry z po-

dziękowaniem za mile spędzone chwile, jakich się jego dzieła stały przyczyną, słaawił „geniusz Moliera, barwą narodowości ozdobiony”.

Im więcej jednak komedye zyskiwały wielbicieli, tem większego zdawały się mieć nieprzyjaciela w samym autorze. Napisał, posłał dyrekeji teatru, i nie więcej — nigdy nie zajrzał za kulisy, chociaż sztukę i we Lwowie grano, nie instruował aktorów, a nawet nie chciał iść na przedstawienie. Miał przekonanie, że komedya swą wartością zwyciężać powinna, i że cel jej moralny jest za nadto wielki, aby ze strony autora drobnych potrzebowała zabiegów. Pragnął, żeby publiczność od razu pojęła moralny cel komedyi, i drażniło go bardzo, gdy spostrzegł w teatrze więcej śmiechu z drobnostek aniżeli głębszego rozumienia rzeczy. A gdy się raz znalazł w łoży, podezas gdy grano nie wiem już którą z jego komedyi i publiczność zanosila się od śmiechu, zniecierpliwiony autor wybiegł z łoży, mówiąc, że nie na to pisze, aby dudków do śmiechu pobudzać.

Jakeśmy już powiedzieli, wymierzył Fredro zrazu swe pociiski przeciw salonom, bo życie towarzystwa, w którym się obracał, najbardziej go raziło swemi wadami. A że ludziom wszystko zaszkodzi, więc znaleźli się tacy, którym to nie było przyjemnem, że Fredro nie szuka wad po za salonami, po za szlacheckim dworkiem. Jeden ze współczesnych krytyków dał nawet wyraz tej opinii, i nazwał Fredrę pisarzem salonów, pisarzem koteryi. Ostatnie wyrażenie nieprzyjemnie dotknęło przyjaciół autora, jeżeli jednak odrzucimy niewłaściwe słowo, to myśl sama błędną nie była.

„Cel komedyi Fredry — powiada krytyk, a nim jest Pol Wincenty — jest wykazać olbrzymio-karłowaty interes życia tych ludzi, którzy spoczywając na laurach przeszłości, w magicznem świetle mody wczorajszego żurnalu samych siebie gorzką są ironią. Wszystko to, co się tylko napotkać zdarzy w salonach, co tylko salony do nas wniosły, występuje tutaj w całej okazałości na scenę”.

A litania tych ówczesnych grzechów salonowych nie była mała. Zepsucie obyczajów, cudzoziemszczyzna, duma spanoszonych, którzy się pod lada co podszyć pragnęli, byle to tylko myszką trąciło; bankructwo familiantów, marnotrawstwo młodych dziedziców i tak zwanych *bonvivants*, dziwaństwo nakoniec ludzi różnego rodzaju, których dostatek znarowił i zepsuł, złe wychowanie skrzywiło, a świat czy salon ezezości lub drażliwości nabawił; to wszystko razem i z osobna wzięte, w tysiącznych odcieniach, tonach i barwach stanowiło atmosferę pierwszych komedyj Fredry.

Mając tyle błędów naokoło siebie, nie potrzebował Fredro szukać daleko, ale musiał w nie uderzyć, wybierać swe ofiary z tej koteryi, która się niemi odznaczała. Nie za grzech, ale owszem za wielką to talentowi Fredry musimy przypisać zaletę. Było to bowiem towarzystwo, stanowiące niemałą część narodu, ważne majątkiem i znaczeniem, mogące się lada chwila zeudzoziemczyć, najbardziej potrzebujące nagany i poprawy. Że je zaś znał z gruntu, że go z niem różnorodnie łączyły stosunki, więc tem więcej umiał je wyśmiać, wytknąć wszystkie słabe strony. Gdy dość tych ludzi nachłostał, szedł dalej, i pod mało-szlachecką strzechę, i na poddasze człowieka pracy, wszędzie, gdziekolwiek znalazł jaką wadę: a czasem cofał się w przeszłość, jak w *Zemście*, a po troszę w *Jowialskim*, aby z powszechnej niwy ułomności ludzkich i narodowych wynieść nieprzebrane zapasy komiki i dowcipu.

Jeżeli mu zarzucano, że jest pisarzem koteryi, to widocznie ta koterya niechętnie nadstawiała pleców pod rązy, które jej wymierzał, widocznie był to znak, że trafił w sedno, że musiał doskonale ośmieszyć jej słabostki.

Miał też Fredro niepospolity wpływ na swe społeczeństwo i chciał go mieć, pisząc komedye; mimo całej niewiary wierzył on wtedy, że ostre a poczciwe pióro jakąś reakcyę wywołać potrafi. Pragnął jednak być satyrykiem, który błędy karei, a nie pamfletystą wyciągającym znajomych na scenę, aby się z nich śmiano. W tej mierze bardzo był drażliwym, i ztąd pochodzi, że zrazu niechętnie dawał swe sztuki lwowskiemu teatrowi, obawiając się, aby go nie posądzono, że z towarzystwa pozbierał wzory, sądził bowiem, że zawsze się taki znajdzie, który się przyzna do swego portretu, choćby nie był do niego podobnym, albo że drudzy wyszukają takie podobieństwo. Nie mylił się zresztą, bo po przedstawieniu każdej niemal sztuki, chciano widzieć żyjących ludzi w przedstawionych typach. Zwykle też nie wprowadzał na scenę portretów, i myliłby się, ktoby w bardziej znajomych osobistościach ówczesnego społeczeństwa chciał szukać wzorów do bohaterów jego komedyi. Jeżeli czasem wiernie kogo z życia odrysował, to z pewnością nie był to niekorzystny dlań rysunek, a osobistość portretowana żyła gdzieś daleko od sceny, ukryta w dworku, za górą, albo już się dawno przeniosła do wieczności. Do takich typów należał Jowialski. Fredro — jak sam opowiadał K. W. Wójcickiemu — wziął go żywcem z sędziwego staruszka Grzymały, którego znał z bliska. Dobroduszny, pełen prostoty starowina, wciąż powtarzał swoje przysłowia i bajeczki, jakie zapamiętał z lat młodości. Mówił też Fre-

dro, że aktorzy nie pojęli Jowialskiego i grać go nie umieją, zrobili bowiem z niego jakiegoś bohatera, wystroili w kontusz i żupan bez potrzeby.

Tak wiernie z natury wzięte typy, jak Jowialski, są jednak wyjątkiem. Sposób, w jaki Fredro tworzył swe postaci, wiernie jest oddany w przedmowie do pierwszego dzieła wydania. „Zapewne — mówi tam autor — chcąc malować ludzi, ludzi trzeba mieć przed oczyma; chcąc zwalczać wady społeczeństwa, wady uważać należy: śmieszności chwytają się umysłu uważającego, jak się chwytła przechodnia pajęczyna na polu rozpostarta, i możeż on potem wiedzieć, z kąd którą nitkę zaczepił: z róży czy z pokrzywy?”

O każdej postaci, którą stworzył, mógł to szczerze powiedzieć, i z tego też powodu stały się jego charaktery typami, stały się uosobieniem pewnych wad i śmieszności społeczeństwa. Są to same w sobie dzieła sztuki; takiego Geldhaba, Radosta, Łatki, nie spotykamy w rzeczywistości, bo natura nie wydaje skończonych typów, i dla tego właśnie Papkin lub Cześnik zawsze będą prawdziwymi, bo są ideałami pewnych ułomności ludzkich.

Tak samo jak charaktery, jak typy w komediach Fredry, tworzyła się sama treść komedyi. Fredro nie kopiował nigdy prawdziwych zdarzeń, nie przerabiał na scenę komedyj, które się niedawno w życiu rozegrały, jak to czynią nowsi, osobliwie francuscy komedyo- i romansopisarze. Komicznych zaś nadawających się do komedyi nie brak było w ówczesnem społeczeństwie, ale Fredro jak każdy prawdziwy artysta, gardził zbyt świeżą fabułą, uważał ją za niezdolną do poetycznego przedstawienia. Wiedział, że stojąc z bliska widzi się tylko indywidualność z jej drobiazgowymi szczegółami, które nie wzbudzają powszechnego zajęcia, patrząc się zaś z daleka obraz zyskuje na liniach, na całości i staje się zrozumiałszym, a przeto bardziej zajmującym dla widzów.

Jeżeli więc z jednej strony to zapewniało Fredrze wielki wpływ u współczesnych, że był, jak się wyrażano pisarzem koteryi i salonów i karecił pewne wkorzone błędy, to z drugiej ta okoliczność, że nie zbierał wzorów, że nie portretował, ale stwarzał typy, stała się niewzruszoną podwaliną jego na przyszłość powodzenia. Dzisiaj nie istnieje już wiele z tych śmieszności, któremi się odznaczały lwowskie salony w roku 1817, a przecież komedye Fredry bawią nas i uczą, bo owe śmieszności były tylko rzeczą podrzędną, a prawdziwa ułomność ludzka podstawą charakterów. Geldhaba poznacie tak samo w żabotach i trzewikach, jak w dzisiejszym angielskim surducie. Żaboty się zmieniły na krochmalne kołnierze, ale

człowiek został ten sam... ułomność istnieje z temi samymi odcieniami, jakie Fredro naszkicował.

To zapewniło jego komedyom kilkudziesięcioletnie powodzenie.

## V.

Pomiędzy rokiem 1832—40 wszelki ruch wewnątrz kraju wychodził od emigracyi — z Paryża. Ruch ten ogarniał wszystkie arterye życia narodowego, a jedną z ważniejszych była naturalnie literatura, dziennikarstwo, o ile w ówczesnych stosunkach rozwijać się mogło.

Jeżeli ruch ten w samym ognisku, w Paryżu, miał obok najważniejszych i najzacniejszych początków, także zbyt bystre źródła, to o ileż więcej bezładnym, samowolnym był w kraju, gdzie aureola patriotyzmu tak silnym go otaczała blaskiem, że po za nią nie widać było, do czego aktorowie zmierzali. W kraju widziano tylko światło elektryczne, kto jednak stał przy machinie — o tem bardzo słabe miewano pojęcie. Centralizacya paryska była owem światłem, które biło w oczy, a o resztę nikt nie pytał. Ztąd łatwo było ludziom płytkim, nierozważnym bałamucić opinię, bez potrzeby podżęgać umysły, a pod pięknem godłem równości i braterstwa siać niezgodę, z całej szlachty zrobić kozła ofiarnego za błędy narodowej przeszłości i terażniejszości.

Były to więc czasy, w których każdy, kto nie plwał na swą tarczę herbową i nie należał do jakiejś pseudo - emigracyjnej konfraternii, był źle zapisanym u gorącej młodzieży, u wartogłowych dziennikarzy — a jeżeli na nieszczęście był jeszcze znaczącą osobistością, a co więcej znakomitym pisarzem, to *crimen* jego nie znalazł przebaczenia.

Jako człowiek czynu, a nie agitacyi, nie wdawał się Fredro w emigracyjne spiski lub intrygi, do chłopomanów nie należał, charakterów w siermiągach nie wyprowadzał na scenę — a to były dostateczne powody, aby jako pisarz koteryi (naturalnie szlachecko-arystokratycznej) nie był dobrze zapisanym w znacznej części emigracyi, a tem samem i u wielu gorętszych osobistości w kraju, będących pod jej wpływem. Powodzenie jednak jakie miały jego komedye, głosy znawców, jak Michał Grabowski, onieśmiały z razu młodych, lub pod wpływem emigracyi stojących pisarzy, tak, że

nie występowali z otwartą przyłbicą przeciw autorowi salonów. Tu i owdzie wprawdzie pojawiły się z pod młodych piór wyszłe krytyki, które wszakże miały bez znaczenia, a i sam Fredro na nie nie zważał. Dopiero w *Pamiętniku nauk i umiejętności* pojawił się w roku 1835 długi, niepodpisany artykuł, który wydając wojnę wszystkim polskim poetom, z szczególnem zamiłowaniem zwrócił swe ostrze przeciw Fredrze. Artykuł nosił szumny tytuł: „Nowa epoka poezji polskiej“, a jego autorem był Seweryn Goszczyński. Oryginalna to swą zarozumiałością rozprawa: autor zwraca się w niej do wszystkich polskich poetów XIX wieku, żadnego nie wyjąwszy, i rzuca im wyrazy potępienia, mówiąc, że fałszywemi idą drogami. W jednym ustępie, z napisem *Oryentalizm*, raczy wprawdzie przyznać Mickiewiczowi, że jest znakomitym poetą, ale mu zarzuca, że naśladuje orientalne formy i nieswojską poezję krzewi w krymskich sonetach, Farysie, Kassydach i t. d. Za nim postępują Chodźko, Garczyński, Korsak, Józef Borkowski, Kamiński, Kajsiewicz i inni — wszyscy odpisują wschodnie pomysły, nie ma w nich rodzinnego, jeden w drugiego kardynalnie błędzi. Ale to tylko jedna strona owych narodowych błędów polskiej poezji, inni robią gorzej, bo naśladują Francuzów. Wady ich kreśli autor dosadnie w ustępie *Francuzczyzna*, dostaje się tam starym rymotwórcom: Koźmianowi, Niemcewiczowi, Kropińskiemu, następnie Odyniec nie wychodzi bez zarzutu, ale miele się na Fredrze. Autor obchodzi się z nim na przekór wszelkiej francuzczyźnie, dosadnie i domorodnie. Zaczyna od ruskiego przysłowia: „Ne rodysia krasnym, a rodysia szczasnym“, mówiąc, że „częstokroć przyczyny powodzenia są niewytłómaczone, że nie chęci czyste, nie zasługa prawdziwa, ale zbieg okoliczności niezależnych od woli ludzkiej wpływają na pomyślność, na chwałę człowieka“ — i konczy, że duchem tego przysłowia jest zawód Fredry.

Autor odmawia mu mniej więcej wszystkiego, przyznaje wprawdzie, że „ma wiersz gładki, ale wymanierowanie języka trybem francuskim, bez oryginalności, bez indywidualnej barwy, bez odcienia charakterów, płynny jak woda, ma też smak wody, nie znajdziesz w nim tej jędrności, tej mocy, tego wdzięku, jakie ujmują w znakomitszych naszych pisarzach, prawdziwie po polsku, z prawdziwym talentem piszących“.

Odmówiwszy mu jędrności wiersza, odmawia prawdziwego dowcipu, i powiada, że „całe komedye Fredra karykaturami nazwaćby można“, kończy zaś tem, że jest pisarzem nienarodowym. „Nazwiska osób — powiada — nie są tem samem co charaktery

polskie; kilka osób, kilka scen narodowych nie rozleją barwy narodowej na wiersze czterech tomów; pasztet przysłów bez związku z charakterami i z całością dzieła jest tylko słownikiem przysłów; miłosna strona narodu, jestto rys jego kosmopolityczny, a to jest właśnie wszystko, co ma stanowić polskość komedyi Fredry; ale enoty, wady, śmieszności, charaktery pojedyncze, fizyonomia ogólna, zgoła cokolwiek tworzy pomniki prawdziwe narodowej indywidualności, tego napróżnobyś tam szukał“.

W ten sposób uporawszy się ze wszystkimi współczesnymi poetami, a w szczególności z Fredrą, dał Goszczyński do zrozumienia, że on tylko od nikogo nie pożyczca, nikogo nie naśladuje, że jest szczerze narodowym, prawdziwie polskim, jedynym poetą, który poszedł prostą drogą. Tego wprawdzie nie powiedział, ale to wyplływało z całego artykułu, pełnego młodzieńczej zarozumiałości.

O artykule tym niktby dzisiaj nie wiedział, niktby go nie czytał, gdyby nie ciążyła na nim smutna sława, że po jego ukazaniu się Fredro przestał pisać i to przez lat blisko piętnaście. Byłby to fakt prawie nie do wytłómaczenia, gdyby nie był usprawiedliwiony charakterem poety. Proszę bowiem zważyć, że komedyopisarz, który od lat szesnastu stał się ulubieńcem publiczności teatralnej, który świeżo najpiękniejsze swoje wydał dzieło — *Zemstę*, że taki autor łamie pióro z tego tylko powodu, że młody, choćby nawet bardzo utalentowany poeta zarzuca mu brak talentu, brak przejęcia się narodowymi potrzebami itd.? — Wyglądałoby to na jakieś nieporozumienie, zdawałoby się, że krytyka owego młodzieńca służyła tylko za pozór, podczas gdy głębsze, istotne przyczyny tkwiły w czem innym. Wpatrując się jednak w charakter Fredry widzimy, że artykuł Goszczyńskiego rzeczywiście był bezpośrednim powodem smutnego faktu, ale że po za krytyką stały inne, ważniejsze przyczyny zniechęcenia. Goszczyński dołał ową niefortunną kroplę goryczy, która przelała i tak zanadto już pełny puhar... Fredro zniechęcił się do świata, a przytem najzupełniej był pozbawiony wszelkiej autorskiej zarozumiałości. Owszem, trapiła go nieraz myśl, że wszystkich nudzi, że ów brak naukowej podstawy, na który narzekał, jest mu najzupełniejszą przeszkodą, aby stworzył cośkolwiek, coby prawdziwą miało wartość. Co chwilę tracił wiarę w skuteczność swego autorskiego posłannictwa. Nie wierzył zaś ludziom, aby mu kiedykolwiek o jego talencie prawdziwe powiedzieli zdanie, i zdawałoby się, że nie wierzył nawet w szczerosć owych oklasków, które ze wszystkich scen Polski odbijały się o jego dom.

Artykuł Goszczyńskiego trafił na taką opokę zwątpienia, Fredro sądził zrazu, że się ktoś znajdzie z pisarzy, co skruszy za nim kopię, kto stanie w jego obronie, ale taki się nie znalazł, lecz owszem napaści się spotęgowały, i zdawały się mieć poklask całej wichrowatej części społeczeństwa.

W Poznaniu zaczął wychodzić *Tygodnik literacki* braci Wojkowskich, organ ludzi, dla których ostatnim wyrazem patriotyzmu było potępienie szlachty i wszystkiego, co od niej wychodziło. Znalazł się jakiś głośny swego czasu paszkwilant, który w tym *Tygodniku* zamieścił *Uwagi ogólne nad literaturą w Galicyi*, błotem całą Galicyę obrzucił (rok 1843 str. 405), szafował na prawo i lewo wyrazami „nikczemny“, „nikczemniki“, a i Fredrze nie darował. Literacka przywoitość znaną mu nie była... Zarzucał Fredrze, że komedye *Mąż i żona* przetłómaczył z obcego języka, że *Jowialski* jest nieńarodowy, że *Zemsta* jest tylko gipsowym odciskiem z twarzy nieboszczyka (z przeszłości), że co Fredro pisał wierszem lub prozą „to bardzo liche“, a jeżeli go kto chwali, „to są to kadzidła pieczeniary, dymy kuchenne wietrzących i gotowych każdemu za lada objad dać nieśmiertelność“.

Inny młodzieniec ze Lwowa, który od tego zaczął swą literacką karierę, że zólcją pisać się uczył, odsądzał Fredrę w swej elukubracyi od wszelkiej oryginalności i tłómaczem go tylko nazwał <sup>1)</sup>. Dwaj znów najzaciętsi zwolennicy paryskiej centralizacyi emigra-

<sup>1)</sup> Nawzajem Niemcy zarzucali Fredrze, że *Śluby panięskie* są plagiatem z sztuczki *Sie schreibt an sich selbst*. Rzecz się zaś tak ma, że właśnie niemiecka sztuczka ma być przetłómaczoną z francuskiej komedyi *Bocquet père et fils, ou le chemin le plus long, comédie-vaudeville en deux actes par M. M. Laurencin, Marc-Michel et E. Labiche*. Ta komedia zaś mimo trzech wymienionych autorów, ma czwartego najważniejszego niewymienionego — to jest Fredrę, gdyż jest tylko przerobieniem *Ślubów panięskich*. Komedia *Boquet etc.* była przedstawioną w *Gymnase Dramatique* w Paryżu 17 sierpnia 1840 r. *Śluby panięskie* przetłómaczył świeżo (w r. 1879) wierszem francuskim p. Przeździecki, piszący pod imieniem Le Noir. — W ostatnich latach grano w wiedeńskim *Stadttheater* *Śluby panięskie*, ale także przerobione, bo każdy z niemieckich tłómaczów rad był w tem słowie powiedzieć, że on dopiero z jakiegoś tam małoznaczącego pomysłu stworzył znakomite dzieło sceniczne. Istnieje taka sama *Bearbeitung* komedyi *Damy i Huzary*. Pisarze rosyjscy również nie zawsze się przyznawali do tłómaczeń Fredry, jedni Czesi byli jeszcze najszersi. — Sam Fredro nie przywiązywał wagi do tłómaczeń swych komedyj, pisał dla Polaków, a nie dla kogo innego, a przeto nie istnieją tłómaczenia pod jego dokonane kierunkiem.



cyjnej, Edward Dembowski, chłopoman z Górnicy, i Lesław Łukaszewicz, z poważnego literackiego trójnoga powstali na Fredrę, a pierwszy w swej historii literatury wyznaczył mu nader podługne stanowisko, wychodząc w tem dziele z zasady, że na świecznikach literackich mogą stać tylko nieherbowi.

Ta wytrwałość w obelżywym potępianiu umocniła Fredrę w powziętem postanowieniu, że wobec takich stosunków pisać nie warto. Bolesną mu przytem była niewdzięczność, niesprawiedliwość tych, którzy go podnosili pod niebiosa, a w danej chwili nie stanęli w obronie, nie odparli paszkwilów.

Historję tych przykrych wspomnień tak opisał Fredro w swym wierszu *Pro memoria* :

Ale nie nie straciłem, żem lat kilka czekał,  
Bo jakiś Minos powstał i zaszczeakał wściekle,  
Chciałby moich pięć tomów w piątem widzieć piekle.  
Żłem pisał, zgoda, ale źle pisać nie zbrodnia,  
Trafiło się to dawniej i trafia się co dnia,  
Byłem więc więcej złością niż treścią zdziwiony,  
A kiedy nikt się mojej nie podjął obrony,  
Nie mogłem pojąć, zgadnąć, czy rada, czy zdrada,  
I zrozumiałem tylko, że milczeć wypada.  
Milczałem lat piętnaście...

Jak wielkie, jak ważne to było zdarzenie w życiu Fredry, i jak głęboko utkwilo w jego pamięci — wyjaśni nam ustęp z jego wspomnień, które w późnym już pisał wieku. Jest to ustęp nieporównanej wartości, malujący ten szlachetny, czuły i melancholijny charakter :

„Przejdźmy myślą życie — powiada Fredro — wszystkie w niem zawarte cierpienia przeszły powoli w mniej więcej żalodne wspomnienia; ale niesprawiedliwość doznana choćby w dzieciennym wieku, choćby za fraszkę zostaje zawsze świeżą, zawsze zarodem goryczy, zdolnym rozwinięcia się za pierwszą sposobnością. Jest to w duszy jak owa plama wilgoci na murze, która trwa ciągle, lubo nikt nie wie, z kąd się uzbierały krople, które ją utworzyły. Są niesprawiedliwości, które spadają na nas jak piorun, nieprzewidziane, bolesne. — Któż nademnie więcej tego doświadczył? Ileż to razy rozbierałem moralnie siebie samego, porównywałem z drugimi, starałem się dociec, dlaczego zawsze i od wszystkich prawie źle byłem rozumiany, każde moje słowo najprostsze, najwyraźniejsze, w najobojętniejszej rozmowie przybierało w cudzem pojęciu znaczenie inne, jak miało w rzeczy, a zawsze cierpkie, zawsze gorzkie..

„Nigdy czynności moje nie były brane za to, za co się objawiały, ale za jakieś naprzód wyrachowane kroki, kiedy moją winą było i jest, że raczej za głośno myślę, że otwarcie daję zdania, kiedy o nie proszą, że obojętnym być nie umiem.

„Wyrzec się wdzięczności można, każdy nawet rozsądny człowiek powinien jej unikać; urazę przebaczyć można, nawet zapomnieć; ale zawsze i nieustannie najczystsze zamiary, najgorliwsze usługi, najniewinniejsze słowa widzieć przekręcane, w truciznę zmieniane, i nie być w stanie wyszukać w sobie przyczyny, to zmusi na koniec obudzić wiarę w jakiś niezłomny fatalizm, to musi nareszcie odwrócić od tego świata, który mnie nie chce lub nie umie zrozumieć.

„Mało, mało trzech murów między mną a ludźmi, abym mógł używać tej spokojności, która jest jedynym moim celem, tego szczęścia, którem mnie Bóg w domowym zakresie obdarzył. Połamane moje pióro autorskie, nie jak mniemano, dla jednego głupiego artykułu Goszczyńskiego, który się podobał obcej nieprzyjaźni, nieprzyjaźni za przyjaźń, za ważną nawet usługę, porzuciłem i urząd (w wydziale stanowym, o czem pomówimy niżej) gdzie moja miłość własna mogłaby uleść chęci ścigania popularności, starałem się jednym słowem i zostałem głupim, abym w gęstym cieniu głupstwa ukrył się przed cięciem i jeszcze nieznośniejszym brzękiem człowieczych komarów. A jednak i w tym cieniu nie mogę uniknąć dotknięcia ze światem, które zawsze jest dla mnie dotknięciem elektrycznego druta, przykrem, a często bolesnem. Oskarżać świat cały o szaleństwo, czy oskarżać siebie o niesłuszność?— Dalej więc, dalej mileząc i nie myśląc po ostrej drodze wypchnięty pielgrzymie“. Głęboka to, bolesna spowiedź, ciężkie dla społeczeństwa potępienie, a byłoby tem cięższem, gdyby w obronie społeczeństwa nie stało lat kilkadziesiąt ciągłych tryumfów, jakie komedye Fredry odnosiły.

Z końcem roku, w którym się pojawił artykuł Goszczyńskiego, (1835) napisał Franciszek Mirecki z Genui do Fredry. Słynny później w Krakowie założyciel szkoły śpiewu tułał się od lat kilkunastu po obczyźnie, to w Paryżu, to w Portugalii, to wreszcie we Włoszech, nosząc się z myślą stworzenia polskiej opery. Raz już nawet zaczął był dorabiać muzykę do *Piasta* Niemcewicza, ale z powodu oddalenia od Paryża nie mógł tego dzieła dokończyć, natomiast napisał trzy opery do włoskiego tekstu, które grano z powodzeniem w Genui, Lizbonie i we Florencyi. Jakżeż się więc ucieszył, gdy przypadkowo dostał egzemplarz dzieł Fredry,

a pomiędzy niemi libretto *Nocleg w Apeninach*. Ze skwapliwością skomponował na ten temat muzykę, ale treść włoska nie dogadzała mu, prosił więc Fredry, aby napisał libretto do narodowej opery. Fredro chętnie przyrzekł zadość uczynić życzeniu utalentowanego muzyka, szybko napisał *Rajmunda Mnicha* i posłał go w ciągu roku 1836 do Genui. Uradowany Mirecki wziął się zaraz do dzieła, a po dość żywej z Fredrą korespondencji <sup>1)</sup> mającej na celu porozumienie się co do szczegółów wiersza, skomponował muzykę w ciągu roku 1836—38. Marzył on o tem, aby mogła we Lwowie powstać polska opera, ale Fredro przedstawił mu trudności, jakie w tej mierze stały na przeszkodzie. Dla braku też funduszków i śpiewaków trzeba było na razie pozbyć się pięknej nadziei. Dopiero po roku 1840 wrócił Mirecki do kraju, zamieszkał w Krakowie, założył szkołę śpiewu, wykształcił kilku zdolnych śpiewaków i śpiewaczek i temi pierwszemi siłami przedstawił w Krakowie *Nocleg w Apeninach* dnia 11 kwietnia 1845 roku. Reprezentacya bardzo się udała, a uczennice kompozytora: panny Hofmanówna, Bełcikowska i pp. Stysiński, Nowakowski liczne zebrali oklaski.

Zajęcie się operą *Rajmund Mnich* było ostatnią literacką pracą Fredry pierwszej epoki jego pisarskiego zawodu.

## VI.

Gdy zniechęcony Fredro pisać przestawał, miał lat 42, a było to za wcześnie, aby ruchliwemu umysłowi nakazać milczenie. Zresztą nie zgadzało się z szlachetnym jego charakterem, aby podobnym będąc starożytnemu Egipcjaninowi od połowy życia budować sobie grobowce i ze skostniałym spokojem w przyszłość spoglądać, owszem Fredro chciał jeszcze działać, pragnął nadal być użytecznym swemu społeczeństwu, wyrzekając się tylko autorstwa.

Nie był on poetą marzycielem, któremu w porę przychodziła pewna umysłowa stagnacya, owszem umysł Fredry zawsze pracował i zawsze skutecznie. Czyn następował po myśli, jak w piśmie tak w życiu. Gospodarował wzorowo, zmysł organizacyjny został mu jeszcze z wojska, pomnażał majątek, stawiał budynki w swych

<sup>1)</sup> Listy Mireckiego do Fredry, znajdujące się w zbiorze hr. Szeptyckich w Przylbicach, mogą stanowić materiał dla kogoś, kogoby obchodził Mirecki i rozwój polskiej opery.

dobrach i to stawiał sam, bez pomocy architektów. Charakterystyczną bowiem cechą tego niepospolitego umysłu było namiętne zamiłowanie do mechaniki, do budownictwa. Gdy nie miał nie innego do czynienia, rysował plany architektoniczne, myślał nad budową nowych maszyn, raz nawet był bliskim wykonania wiecznie ruszającego się wahadła, w czasach kiedy *perpetuum mobile* głowy zaprzętało. Czemkolwiek się zajął, wszędzie doprowadzał daleko, żadna czynność ludzka obcą mu nie była do tego nawet stopnia, że w ostatnich latach życia ułożył projekt wykupna prawa propinacyi, gdy rzecz ta w sejmie była na porządku dziennym.

Pojmiemy więc, że gdy mu ubył główny cel myśli, gdy pisać zaprzestał, z całą energią w inną rzucił się stronę. Będąc członkiem wydziału stanowego, od r. 1833 do 1842, starał się obecnie, aby i ten szczupły zakres publicznego działania spotęgować i w martwy prawie urząd technąć nieco życia. Przypadł mu referat instytucyj naukowych, a że wtedy właśnie powstawał zakład Ossolińskich, więc jak mógł usuwał przeszkody, które stały w drodze urzeczywistnieniu myśli szlachetnego fundatora. Toż samo projekty założenia towarzystwa kredytowego ziemskiego, a później budowa kolei Karola Ludwika znalazły w nim gorącego poplecznika. Książę Leon Sapieha pracował w Wrocławiu, w Berlinie, aby dla tych projektów zyskiwać kapitał i doświadczenie; Fredro, Wasilewski, Izidor Pietruski, zbierali w kraju potrzebne daty, przekonywali, namawiali, chodzili do namiestników, aby tylko położyć podstawę do lepszej ekonomicznej przyszłości. Fredro był nawet później około roku 1844 wraz z księciem Sapiehą w tej sprawie w Wiedniu u wszystkich ministrów i u Rothszilda.

Działanie Fredry pomiędzy rokiem 1835—42 jest nacechowane zacnem, obywatelskiem dążeniem. To też gdy powziął w roku 1842 myśl złożenia godności członka wydziału stanowego, powszechne temu krokowi towarzyszyło ubolewanie. Co go skłoniło do usunięcia się i od tej czynności? odpowiedź już dla nas nietrudna. To samo niedowierzanie ludziom, to samo zwątpienie w pożyteczność swej pracy, a teraz już i nadwątlone zdrowie kazały mu napisać z Wiednia (14 września 1842 r.), gdzie chwilowo bawił w przejeździe z wód — że składa obywatelski mandat. Wiadomość ta z prawdziwym smutkiem była przyjęta na zgromadzeniu stanowym.

„List Twój — pisze mu Wasilewski, wicemarszałek stanów — odebrałem, i polecenia dopełniłem wiernie, choć ze zranionem sercem. Szlachta nie chciała słyszeć o Twojem wystąpieniu, ani przystąpić do wyboru następey. Odłożono wybór do ostatniej sesyi,

w nadziei, że może jeszcze nadjedziesz i dasz się uprosić. Ja najmocniej ze wszystkich dotknięty, bo najmilszego tracę kolegę. Musiałem stosownie do twojej woli przekładać, że Cię dziś przy słabym zdrowiu do dalszej służby przymuszać nie należy i nie można bez narażenia go na dalszy upadek. Uchwalono także jednogłośnie wyrazić Ci imieniem zgromadzonych stanów wdzięczność za podejmowane dotąd prace i żal z Twego odejścia“.

W roku 1846 znów się Fredro odezwał w publicznych sprawach. Gdy cesarz wysłał do Galicyi hr. Stadiona, aby zbadał stan kraju, Fredro przedłożył mu dłuższy, z wielką znajomością stosunków, z wielkim patryotyzmem a poważnie napisany memoriał. Widząc główne przyczyny ówczesnych nieszczęść w kaście wrogiej krajowi, obcej biurokracyi, stawia Fredro jako główne warunki zapewnienia normalnego rozwoju kraju — aby:

Reprezentacya stanowa, urządzona przez cesarza Józefa i rozszerzona w r. 1815 weszła w odpowiednią celowi działalność.

Aby język polski w szkołach i urzędach został zaprowadzony, a cenzura umożliwiła rozwój dziennikarstwa i opinii publicznej, tudzież aby stosunki poddańcze bezzwłocznie były uregulowane.

Nie tutaj miejsce rozbierać szczegółowo środki, które autor podaje, zwłaszcza co do tej ostatniej, podówczas najbardziej piekającej kwestyi, nie możemy jednak nie przytoczyć ustępu zamykającego memoriał, a oceniającego trzeźwo stosunek polskiego żywiołu w państwie austriackiem.

„Jeżeli Galicya, mówi autor, rozwinie w sobie narodowość polską, stanie się wtedy ona w Słowiańszczyźnie odporną i przyciągającą potęgą, stanie się zarazem przedmurzem i punktem oparcia dla wielu słowiańskich pokoleń, zgromadzonych pod ojcowskie berło austriackiego domu“.

Przyszłość dowiodła, że mówił prawdę. Trzeźwej swej myśli o stosunku Galicyi do państwa austriackiego chciał dać Fredro w roku 1848 praktyczny wyraz, układając adres do tronu, który miał być ze Lwowa podany. Nie mogliśmy odszukać tego dokumentu, najznakomitsi jednak nasi posłowie, którzy już wówczas rozpoczęli swój zawód publiczny, utrzymują, że projekt Fredry był w danych stosunkach najbardziej wytrawny, a skrajna tylko większość lwowskiej publiczności, która wtedy przez pryzmat chwilowych namiętności i nadziei na wszystko patrzyła — sprzeciwiała się Fredrowskiemu projektowi, tak, że przyjęto inny radykalniejszy adres. Usunięty w ten sposób od wyrażenia swej politycznej myśli stanął Fredro tam, gdzie mu przypadało stanąć jako dawnemu żołnierzowi,

w szeregach lwowskiej gwardyi narodowej, i był dowódcą trzeciej kompanii.

Żywszy puls jednak, jaki bił wówczas w całym narodzie, pobudził go do napisania kilku satyrycznych piosnek, które krytykując postępowanie rządu w lot się rozeszły pomiędzy publicznością. Doniesiono hr. Stadionowi, kto jest tych piosnek autorem, a nadto, jak się zdaje, rzucono na niego podejrzenie, że w radzie narodowej w Rudkach miał mowę, niekoniecznie zgadzającą się z istniejącym porządkiem rzeczy, w której dotknął najwyższe w państwie osoby. Ostatni zarzut był fałszywy, ale mimo to była chwila, gdzie się trzeba było obawiać „Temidowej kaźni“. O tych zajściach opowiada poeta:

. . . . . Natenczas pojałem,  
 Że słówko wzlata ptaszkiem, a powraca wołem,  
 A mówiąc między nami, szecerze wam udzielię,  
 Że moich piosnek były nazbyt głośne trele...

Nie przyszło jednak do żadnych przykrych dla poety następstw, ale owe polityczne piosnki miały tę dobrą stronę, że przypomniały Fredrze, iż istnieje pióro i kałamarz. Raz spróbowałszy, zaczął znowu pisać:

Udając zaś fantazyę przed grożącą kozą,  
 Napisałem komedyę — lecz tym razem prozą.  
 A napisawszy jedną, po szczęsnym połogu  
 Do dawnego niestety wróciłem nałogu,  
 Ale już teraz piszę tylko dla szuflady...  
 Bo pochwałem nie wierzę — za późno na rady.

W ten sposób rok 1849 stał się szczęśliwym przełomem w literackim Fredry zawodzie, natura wróciła na przeznaczoną drogę, a chociaż lat kilkanaście minęło bez plonu, przecież „szuflada“ na nowo się zaczęła zapełniać i przyniosła nam spory szereg pośmiertnych komedyj.

Lat kilkanaście przerwy nie mogło pozostać bez wpływu na autora, a osobliwie na komedyopisarza. Społeczeństwo przez ten czas znacznie się zmieniło, literatura dramatyczna zagraniczna nowemi poszła szlaki, dobre Molierowskie czasy, w których gdzieś po wsiach i miasteczkach żyły skostniałe w swych wadach i śmiesznościach oryginały — minęły, a koleje żelazne i telegrafy tak ludzi zmieniły, że im podobniejsi się stawali do siebie na zewnątrz, tem bardziej się wewnątrz różnili.

Trafnie powiedział prof. Tarnowski w swym rozbiorze pośmiertnych komedyj Fredry (*Przegląd Polski* r. 1877, wrzesień), „że u nas człowiek cheiwy na pieniądze nie będzie już brudnym sknerą jak Harpagon lub Łatka, ale stanie się pozytywnym, jak bohater komedyi Narzymskiego; że Tartuffe nie poprzestanie na oszukiwaniu jednego człowieka, ale będzie wyżej sięgał ambicyą“.

Ztąd też powstała w nowszej komedyi wielka różnorodność w cieniowaniu charakterów, wielka odmiana w nakładaniu owego tła, na którem się rozwijać mają. Dawniej o tło nie chodziło, bo charaktery tak grubo, tak wyraziście były narysowane, że tak samo je znać było na czarnem, jak na jasnym płótnie, dzisiaj inaczej; tło z charakterami wzajemnie na siebie oddziaływa, powstają tysiączne kombinacye cieni i światła, wynikające ze społecznych, politycznych, narodowych stosunków. Powstają całkowite charaktery, z którymi dawny Molier lub Fredro nie wiedzieliby co począć. Cała rodzina Benoitonów najeżdża scenę, nie dość zła, aby się wielkiej dopuścić zbrodni, nie dość dobra, aby wzbudzić dla siebie poszanowanie, nie dość oryginalna nareszcie, aby się śmiać z niej z podpartemi boki.

Podobnie więc jak się świat zmienił, zmienił się i komedyopisarz; komedye Fredry w drugiej połowie życia pisane inną noszą cechę. *Wielki człowiek do małych interesów*, *Wychowanka*, *Dwie bliźny*, to już komedye z podmalowaniem, z tłem, to już nie obrazy malowane jaskrawymi kolorami tęczy, ale tą całą skalą barw i płowych i żywych, zwiędłych i soczystych, jakich kobiece ręce używają do jedwabnej tkanki.

Tę wielką zmianę w stosunkach i osobach, jakie mogły służyć za temat dla komedyopisarza, spostrzegął Fredro przy końcu swej pierwszej autorskiej epoki. Już wtedy, gdy pisał *Jowialskiego*, czuł, że komedyopisarz zaczyna mieć inny świat przed sobą, a zapatrywanie, jakie włożył w usta Ludmira (w scenie drugiej) było niejako przepowiednią przyszłej zmiany w sposobie pisania komedyi. Mówi tam Ludmir: „Tak, od dziś dnia porzucam złocone komnaty, przenoszę się pod skromne strzechy, tam jeszcze człowiek jest przejrzystym. Ukształcenie za gęstym już werniksem przeciągnęło wyższe towarzystwo. Wszystkie charaktery jedną powierzchowność wzięły, nie ma wydatnych rysów. Co świat powie, to jest teraz duszą powszechną. Skąpiec dawniej w przenicowanej chodził sukni, trzymał ręce w kieszeni, teraz sknera sknerą tylko w kącie, troskliwość o mniemanie przemogła miłość złota, i ubogiego hojnie obdarzy, byle świat o tem wiedział. Zazdrosny gryzie wargi i milezy, tehórz

mundur przywdziewa, tyran się pieści; w każdym człowieku dwie osoby; sceny musiałyby być zawsze podwójne, jak medale mieć dwie strony. Komedia Moliera koniec wzięła“.

W rozbiór dzieł scenicznych Fredry z drugiej epoki wchodząc nie będziemy, jakeśmy się nie wdawali w ocenienie komedyj dawniejszych. Rzecz to szczegółowej krytyki, która nie jest naszym zadaniem, nie możemy tylko zamilezeć ogólnego wrażenia, jakie sprawiły, że nie stoją już na równi z komediami pierwszej epoki, natomiast jednak poezye satyryczne i rzeczy prozą pisane, jak nieoceniony pamiętnik *Trzy po trzy*, stawiają talent Fredry w drugiej epoce jego życia w nowym blasku i stanowią jedną z najcenniejszych części jego literackiej spuścizny. Zdaje nam się nawet być rzeczą naturalną, że forma satyry lub uwag o ludziach i życiu prozą pisanych daleko więcej odpowiadała późniejszemu usposobieniu i kierunkowi umysłu poety, aniżeli forma komedyi. Usunąwszy się od ludzi, przegrodziwszy się od świata owemi trzema murami, o których z taką siłą mówi, nie bywając zresztą nigdy w teatrze i nie widząc sceny, nie miał tej spójni z publicznością, ze społeczeństwem, która komedyopisarzowi lub powieściopisarzowi ciągle jest potrzebną. Natomiast więcej zamknięty w sobie, spokojny spozstrzegacz, przytem rozgoryczony, pełnemi żaglami płynął ku satyrze, ku filozoficznym rozmyślaniom. Wszystkie w tych czasach pisma satyryczne są tem piękniejsze, że słychać w nich pewien ton rzewny, sercowy, który często łzę z oka wyciska. Nie czuć tam twardej Juwenalowskiej dyscypliny, ale rękę poety pełnego miłości, często oburzenie, nawet gniew, ale gniew człowieka sprawiedliwego, obywatela przywiązanego do ojezyny. Szlachetny umysł oburzał się przedewszystkiem na pewną część lekkomyślnej lub nieuczciwej prasy, która ze swego posłannictwa zrobiła interes, a często nawet interes wątpliwej wartości. Z wielką siłą malował ją Fredro, w wierszach *Wiwaty*, *Wet za wet*, *W sejmie ptaków* i t. d. nieporównane powiedział nauki. Ludzi, co to się szczyca, że prawdę w oczy mówią, tak np. scharakteryzował w wierszu *Weredyk*:

Weredyk, moi bracia, dziwne to stworzenie!  
 Jest w niem coś osy, jeża, pawia i papugi,  
 Głos ma zawsze szepejący, ale język długi,  
 Prawdę żyje i prawda w każdym jego słowie,  
 Ale nigdy przyjemna — tę pochlebstwem zowie.  
 Ale prawdę, co boli, tej szuka, tę lubi.  
 I swoją bezwzględnością otwarcie się chlubi.  
 „Powiedziałem mu prawdę, aż mu poszło w piętę“  
 Cały też sens moralny w tych piętach zamknięty.



Satyryczne te wiersze, pełne iskrzącego dowcipu, najrozmaitszą przybierają formę, myśl się w nich nagina, faluje, a zawsze piękna, zawsze świeża, jak ów potok górski, który tutaj zniknie, tam się ukáže, a zawsze zrobi niespodziankę. Jak charakterystyczna np. taka zwrotka z wiersza *Kandydaci*:

Pan Postępowicz zboczył z toru rodzinnego,  
Naprzód! naprzód! hasło jego.

## C H Ó R.

Sprzedał wieś jedną, stał się liberałem,  
Zmarnował drugą, stał się radykałem.

Jak mu giełda nie dopisze,  
Do komuny się zapisze.

Pełna goryczy znowu zwrotka, z innego wiersza o dziennikarzach wątpliwej wartości:

Będę feudałem,  
Albo radykałem.

Kogo mam obrzucić błotem,  
Pomówimy po tem o tem,  
Moje czoło jak miedzianek,  
Moje pióro jak wiatraczek.  
Na usługi swoje masz,  
Tylko powiedz — co mi dasz?

Albo jakież wyborny zbiór charakterystycznych powiedzeń, określających ludzi i stosunki w *Nowych herbach*. Zapytajmy się np. jaki herb ideologa:

W błękitnym polu błękitny wiatrak,  
Wiatrem żyje.

albo herb demogoga?

W czerwonym polu złota drabina,  
Nad nią gwiazda.  
Jak najwyższej, ale sam!

Są tam następnie krótkie charakterystyki, wyborne dwu i czterowersze. Jaką np. mają ludzie opinię o głupocie i rozsądku?

Rosądek kaszle — pewne ma suchoty,  
Głupstwo zaś kichnie — wiwat nasz wiek złoty!

Dowcip sypie się w tych satyrach, ucinkowych wierszykach jak z rogu obfitości, z całą świadomością też powtórzyć musimy, że czego brak pośmiertnym komedjom Fredry, to nam hojnie autor wynagrodził w pismach satyrycznych i w swym pamiętniku.

## VII.

O ile rok 1849 był szczęśliwym przełomem w życiu Fredry, bo go na nowo pobudził do pisania, o tyle ciężkie przyniósł mu strapienia w rodzinie. Jedyne syn poety, Jan Aleksander, idąc w ojcowskie żołnierskie ślady wstąpił do legionu polskiego na Węgrzech. Bił się dzielnie, jedyny z legionu został oficerem na polu bitwy, ale po upadku rewolucyi musiał emigrować, zamieszkał w Paryżu, i powrócił do kraju dopiero w r. 1857. Przez cały czas kampanii roku 1849 nie miał nawet ojciec wiadomości o synu, i dopiero gdy tenże zamieszkał w Paryżu, mógł go tam odwiedzić. W owych dziesięciu latach jeździł Fredro kilka razy na dłuższy pobyt do Paryża i bywał wtedy w tamtejszem polskiem towarzystwie, w Hôtel Lambert, u pani Wąsowiczowej, u pp. Czarkowskich i t. d.

Wreszcie w roku 1857 otrzymał p. Jan Alexander pozwolenie powrotu do kraju, a publiczność polska umiała szczerze podzielić radość ojca.

Jak żywo przyjęło tą wiadomość koło znajomych i przyjaciół Fredry, świadczy kilka następujących słów z listu Wincentego Pola:

„Dzień, w którym się rozeszła wiadomość po Krakowie, że Oleś wraca — pisze autor *Mohorta* — był dniem tak szczególniejszych wrażeń i uczuć, powszechnie nawzajem sobie udzielanych, że nam przypomniawszy najpiękniejsze dni życia...“

Tak wtedy, jak nieraz później, dawał naród Fredrze szczerę dowody swego serca, swej wdzięczności za cenne dzieła, któremi go obdarzył. Fredro unikał zawsze wszelkich owacyj, a nie bywając w teatrze czynił niemożliwemi głośniejsze objawy hołdów. Publiczność jednak szukała niejednokrotnie sposobności, aby zmazać ową winę, która ciążyła wobec Fredry na lekkomyślnej krytyce.

I tak, gdy ulubiony pisarz przejeżdżał w roku 1860 przez Kraków, zebrało się grono kilkudziesięciu osób, aby rzadkiego gościa

uczcić objadem. Co Kraków miał znakomitszego — wszystko się wtedy znalazło w tem gronie. Lucyan Siemieński, sam znakomity pisarz, sam krytyk, dorozumiał się obowiązkowi, jaki miała krytyka polska wobec Fredry, że winna przeprosić poważnego autora za uczynioną mu krzywdę. Wywiązał się z tego zadania w toaście, w którym były następujące słowa:

Dla tego zacny gościu czas *Zemsty* nadchodzi:  
Zawiść, co przeszkadzała, już Ci nie przeszkodzi,  
Wywietrzały te brednie, co nam w uszy kładła —  
Naród ręce wyciąga do Twego zwierciadła,  
W niem jednym się poznaje i wad swych docieka,  
Bo któż lepiej od Ciebie zna serce człowieka?  
„Zemsta“ więc nad Rejentem! Tajone zawzięcie  
Skarby Muzy na przekór rzuć w sceny objęcie,  
Co z miłości ku Tobie w suchotach umiera...  
Zdrowie nowych komedyj polskiego Moliera!

Niestety ten toast był wzniesiony za późno. Przed laty dwudziestu możeby był zmniejszył żal, który ciężył na Fredrowskiem piórze, dzisiaj nie mógł już tak wpłynąć na pochyłonego wiekiem, przygnębionego chorobami poetę.

To też gdy 26 marca 1865 wręczano Fredrze medal na jego cześć wybity, jubilat smutnie odpowiedział: „Mogłem, powinienem był na polu piśmiennictwa więcej działać. Wyznaję — żałuję. Teraz już za późno“.

Wybicie medalu było także jednym z tych dowodów, któremi chciało zmazać niesprawiedliwość krytyki i wdzięczność swą okazać poecie. Pomysł wyszedł ztamtąd, z kąd wyjść był powinien, od ówczesnego dyrektora sceny polskiej we Lwowie i w Krakowie Adama Miłaszewskiego. Dobrą myśl w lot chwycono w całym kraju, utworzył się komitet pod przewodnictwem generała hr. Załuskiego celem jej urzeczywistnienia, pan Barré w Paryżu wykonał medal, a deputacya wręczyła go wraz z dyplomem ulubionemu pisarzowi.

Gdy się w Galicyi rozbudzało polityczne życie, obywatele samborskiej ziemi, do której Fredro należał, nie zapomnieli uczcić znakomitego swego obywatela i prosić go, aby ich w sejmie zastąpił. Adres opatrzony kilkudziesięciu podpisami ułożono w Samborze (26 marca 1861) i zawieziono poecie. Fredro przyjął mandat, zasiadał w pierwszej kadencji galicyjskiego sejmku, ale w kilka miesięcy później złożył godność poselską z powodu nadwątłego zdrowia. Fredro nie bardzo może i wierzył wówczas w skuteczność

naszych sejmów, a jak o nich myślał, świadczy następujący wierszyk:

Prawo! prawo! jeszcze prawo!  
 Jakby z nieba lecą żwawo;  
 Zachowując je w pamięci,  
 Będziem żyli niby święci.  
 Ale zawsze w praw dodatku,  
 Jedna piosnuka: zapłać bratku...  
 Więc możemy być świętymi  
 Lecz świętymi tureckimi.

Innego rodzaju adresy, zachęcające do otwarcia zamkniętej z komediami szuflady, odbierał często. W zimie r. 1860 przedstawiano w Krakowie *Zemstę* i *Cudzoziemszczyznę*. Kilkanaście wybitniejszych osób, a pomiędzy nimi generał Załuski, Maurycy Mann, Zofia hr. Potocka, Henryk hr. Wodzicki nie mogli się powstrzymać, aby do poety nie wysłać pisma wyrażającego najszezersze uczucia wdzięczności za dawne komedye, a prosić o nowe.

Redakcyja *Kłosów* obchodziła w roku 1868 dziwną rocznicę, rocznicę trzydziestoletniego usunięcia się Fredry od pisarskiego zawodu. Wyszedł numer *Kłosów* z portretem wielbionego autora, z zaszczytnym rozbiorem dzieł jego, a redakcyja wysłała list do Fredry z przymówką, aby coś z jego teki otrzymać.

Przymawiał się i Kraszewski, gdy był redaktorem *Gazety Codziennej* i *Gazety Polskiej*, przymawiali się i inni, ale postanowienie Fredry było niezłomne, teki swej, a raczej szuflady nie otworzył. Powtarzał każdemu to, co mówił Wójcickiemu we Lwowie w r. 1869.

— Komedye moje nie ujrzą świata, aż gdy spocznę w grobie. Wtedy niech robią; co chcą, ani pochwał, ani krytyk już słyszeć nie będę.

Na nowy nawet przedruk dawnych komedyj pozwolić nie chciał. A gdy go o to prosił Wójcicki w imieniu księgarzy warszawskich, odrzekł mu:

— Inna dziś społeczność, inne pragnienia. Ja nie umiałem i nie umiem nierządnie brać za bohaterki swoich utworów, jak to teraz moda za przewagą francuską.

Nie raz mówiąc w gronie przyjaciół o nowej szkole dramatycznej francuskiej, o komedjach Dumasa, występował bardzo silnie przeciw temu kierunkowi, starającemu się podnosić do ideału istoty,

z których najznakomitszy talent szlachetniejszej iskry wydobyć już nie potrafi.

Dom Fredry we Lwowie bywał zawsze licznie odwiedzany, poważna postać poety przyciągała nietylko lwowskie towarzystwo, ale wielu przejeżdżających. Przed zamążpójściem córki hr. Zofii Szeptyckiej przyjmował Fredro codziennie wieczór, później (po roku 1861) w dzień, zwłaszcza w niedzielę. Najczęściej można tam było zastać Aleksandra hr. Stadnickiego, Aleksandra hr. Czackiego, Kazimierza hr. Krasickiego, p. Pietruskiego Teofila, podczas sejmu ks. Władysława Sanguszkę, Adama hr. Potockiego, p. Franciszka Paszkowskiego i innych. Dwunastego grudnia przychodziło corocznie całe towarzystwo lwowskie złożyć mu swe życzenia jako w dzień imienin.

W kilku dopiero ostatnich latach życia, gdy bardzo na zdrowiu podupadł, zrywały się coraz bardziej stosunki z ludźmi, tem więcej, że znajomych z czasów młodości, towarzyszy broni coraz było mniej, „gdzie niegdzie tylko jak kłos w gradobiciu“ stał posiwiałły Napoleończyk. Serce też i umysł Fredry odwróciły się wtedy niemal zupełnie od zewnętrznego świata, a skupiły się w rodzinnem kole, które zawsze miało dlań najwięcej uroku. Życie w społeczeństwie stało się tylko wspomnieniem, życie w najbliższem kole rzeczywistością. Serce znalazło tutaj miłość, spracowany umysł wytechnienie. Z rozrzewnieniem maluje poeta to szczęście rodzinne, gdy się w tych słowach zwraca do dzieci: „Nie myślcie jednak ukochane dzieci moje, że całą masę szczęścia, którą los mojemu życiu wydzielił, zamknąłem, zostawiłem w owym dalekim czasie, w przeszłości. Ach! bluźniłbym, gdybym nie czuł się szczęśliwym, kiedy wzrok błogosławiący przesuwam po waszych jasnych włoskach, kiedy go zawieszam na ustach waszych uśmiechających się młodością, kiedy go utapiam w niezamącone jeszcze wejrzenie, w czyste jak niebo oczy wasze, kiedy was widzę w objęciu matki przy jej sercu, sercu nieprzebranej dobroci i miłości, przy tem jednym sercu, gdzie się odbijam takim, jakim jestem w istocie, gdzie zawsze tak wierny oddźwięk każdego mego uczucia znajduję. Tak jest, kiedy całą duszą obejmę, osłonię, złączę jakby w jeden uścisk Was wszystkie troje — jesteście moim światem, moją miłością, dziękczynne modły muszą wnieść do Boga, jestem szczęśliwy! Ale szczęście jest teraz oazą kwiecistą wśród puszczy Sahary“.

Ten nastrój duszy Fredry przebija się w ulotnych wierszykach, które jeszcze czasami rzucał pomiędzy dawne papiery. Dla świata

ma tylko żal w swem piórze, od ludzi niczego nie wymaga tylko spokoju :

Nie drwicie sobie z mej starej bandury,  
 Że posklejana od dołu do góry,  
 Jaki pan, taki kram.

Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,  
 Mało w nim sztuki ale dużo wiary,  
 Śpiewam, co w sercu mam.

. . . . .

Stłukliście lutnię w mojem młodem ręku,  
 Niechże przynajmniej bandury pobrzęku  
 Nie ściga już wasz gniew.

Jeśli dziś śpiewam, to tylko pacierze,  
 Za wiernych jeszcze ojczyźnie i wierze,  
 Łabędzi to mój śpiew.

W ostatnich kilku latach życia zaspiewał jeszcze ten stary lutnista, ale prócz jedynej życia przyjaciółki, prócz dzieci nikt tych śpiewów nie słyszał. Gdy mu też myśl przychodzi o blizkiej śmierci, to go smutek ogarnia, że z dziećmi musi się rozłączyć. W wierszyku pełnym rzewności *Nad grobem* zapytuje się sam siebie, dla czego „za tym światem tęsknem rzuca okiem“ i niebawem znajduje odpowiedź :

Dla tego drogie dzieci, dzieci ukochane,  
 Z nieba w duszę rodziców światelka zesłane,  
 Bo w ostatniem westchnieniu, w przybytek wieczności,  
 Zabiorę wam ze sobą ten ogrom miłości,  
 Te wasze w mem sercu zebrane klejnoty...  
 . . . . .  
 Wszystko czego nikt nie da, zabiorę ze sobą,  
 Dla tego serce moje okryte żałobą.

Tym dzieciom i tym wnukom zostawił poeta rzewną pamiątkę. Każdemu z nich własnoręcznie napisał błogosławieństwo pełne tej prostoty i wielkości uczuć, która go charakteryzuje.

W latach 1875—76 alarmowała nieraz lwowską publiczność wiadomość, że Fredro śmiertelnie chory, że Fredro umiera. Z takimi wieściami łączył się zawsze smutek ale i egoizm. Smutek, bo każdemu się serce ścisnęło, że już nie będzie pomiędzy nami twórca komedyi narodowej, egoizm, bo się spodziewano spuścizny,

bo z upragnieniem czekano na dzieła, które dopiero po śmierci autora pojawić się mogły.

Wreszcie smutna pogłoska stała się prawdą 15 lipca 1876. Fredro umarł, a umarł w otoczeniu tej rodziny, którą tak bardzo kochał, umarł w tem przekonaniu, że pracował dla społeczeństwa z miłością. Mógł też z szczerem powiedzieć sercem :

Lecz nigdy, nigdy, to potomność przyzna,  
Fałszu, zawiści, oszczerstwa trucizna  
Nie tknęła moich strun...

KAZIMIERZ CHŁĘDOWSKI.



PRZEWODNIK NAUKOWY I LITERACKI



**INSTYTUT**  
**BADAŃ LITERACKICH PAN**  
**BIBLIOTEKA**  
00 330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72  
Tel. 26-68-63



F

6909







F  
6909